NR 46 (1919) 18 LISTOPADA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

KONIEC polskiej stali



Fot. Adobe Stock

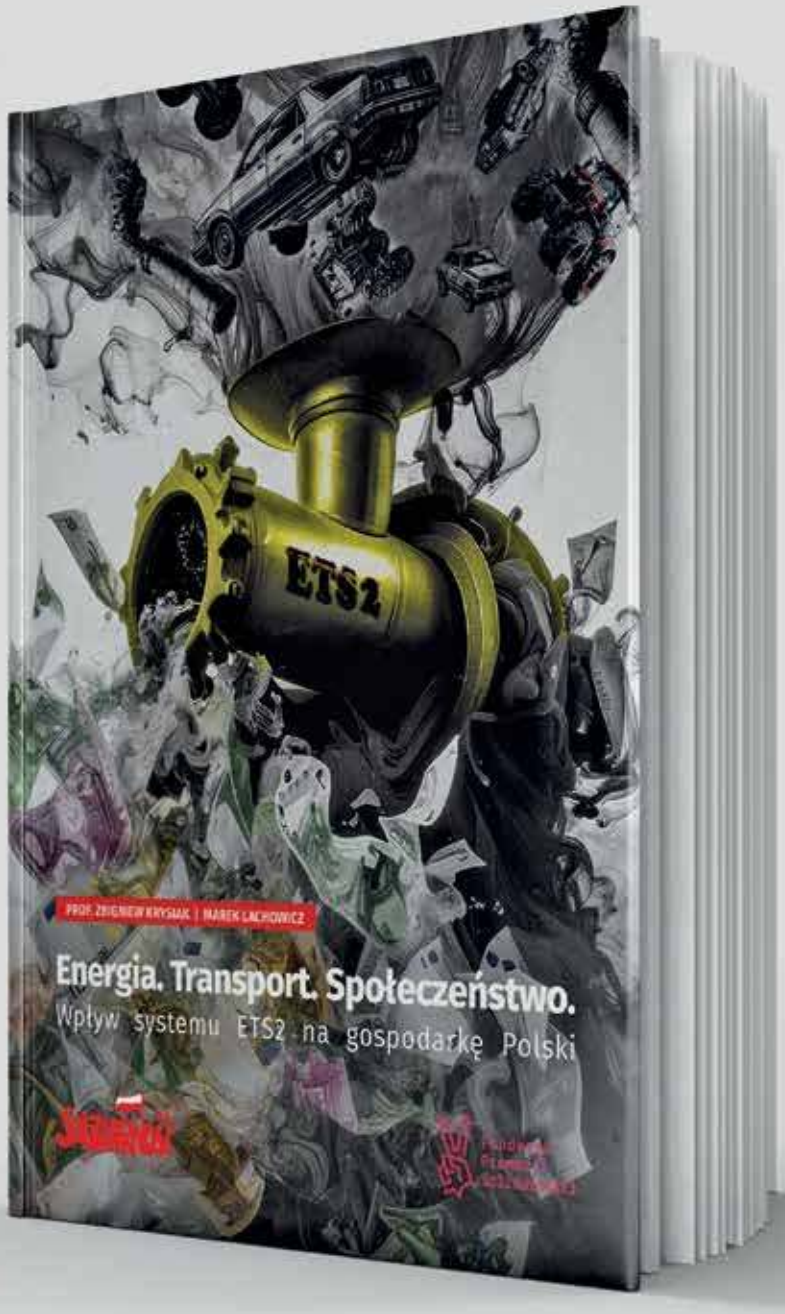
ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- CIEŃ RADIOKOMITETU
- CZY ERIKA WYKOŃCZY MAGA?

NAJNOWSZY

raport NSZZ „Solidarność”



Do kupienia na:

solidarnosc.sklep.pl

eprasa.pl de96da4d7d



Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Stal to fundament każdego nowoczesnego państwa. Bez niej nie ma mostów, czołgów, statków ani fabryk. Bez niej nie mogą powstawać wielkie inwestycje, ale też drobne przedmioty, które codziennie służą ludziom. Stal to krwiobieg przemysłu – a bez przemysłu nie ma bezpieczeństwa. Dlatego zapaść polskiego hutnictwa nie jest tylko problemem gospodarczym. To realne, strategiczne zagrożenie dla państwa. I to zagrożenie, które rząd zdaje się lekceważyć.

Wydaje się, że politycy wciąż nie rozumieją, że bezpieczeństwo narodowe nie kończy się na armii i sojuszach. Prawdziwa niezależność to również zdolność do wytwarzania tego, co armii i gospodarce jest niezbędne. Kraj, który nie potrafi sam wytopić stali, wcześniej czy później uzależni swoje bezpieczeństwo od importu. A to prosta droga do utraty kontroli nad własną przyszłością.

Podczas gdy nawet Niemcy zwołują „szczyt stalowy", polski rząd udaje, że u nas problem nie istnieje. Nie można tego usprawiedliwiać „trudną sytuacją rynkową" czy unijnymi regulacjami. To po prostu polityczna obojętność. Bo to politycy jak nikt inny mają wpływ na to, jakie regulacje są przyjmowane zarówno w Polsce, jak i w Brukseli. A hutnicy regularnie przypominają im o swoich problemach, wychodząc na ulice polskich miast.

Oni doskonale rozumieją, że nie da się obronić kraju, który rezygnuje z własnego przemysłu. Nie da się budować niezależności na imporcie. I nie da się mówić o suwerenności, jeśli oddajemy prawo do produkcji strategicznych materiałów w obce ręce. – Nie można po prostu wyłączyć pieca – mówią hutnicy. Ale politycy właśnie to robią – symbolicznie i dosłownie. Wyłączają piece, a wraz z nimi gaszą w Polsce myślenie o państwie jako wspólnym dziele, które trzeba budować, a nie tylko nim administrować.

Bezpieczeństwo rodzi się nie w deklaracjach, lecz w hutach, warsztatach i fabrykach.

Rząd, który nie potrafi ochronić własnego przemysłu, nie potrafi ochronić państwa. Bo bezpieczeństwo rodzi się nie w deklaracjach, lecz w hutach, warsztatach i fabrykach. Jeśli nie zrozumiemy tego dziś, jutro może się okazać, że w Polsce nie ma już ani hut, ani przemysłu, ani prawdziwej niezależności.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl de96da4d7d

18.11.2025
WYDANIE Nr
46

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Wygaszanie polskiej stali



6 **Gasnące piece**

10 **Polska stal stygnie**

14 **Nie mamy szans przy nierównej konkurencji. Rozmowa z M. Nowakiem**

18 **Zielony Ład – ekonomiczne harakiri**

22 **Hartowanie polskiego ducha**

KRAJ

Wieczny cień Radiokomitetu 24
Prezesowski pasjans. Rozmowa z M. Luft 28
Dlaczego PiS wciąż może sięgnąć po 40% 32
Zniszczyć centrum – to już strategia 36
Bałtyk – polskie okno na świat. Rozmowa z K. Płażyńskim 40
Przyszłość i wyzwania lokalnych wspólnot 44
Sokoły na rosyjskie drony 46
Rzeczypospolita Polska dziękuje Waldemarowi Łysiakowi 49

ZAGRANICA

Erika Kirk wykończy ruch MAGA? 54
Było piękne miasto nad Menem 58

KULTURA

Spotkania wokół książki „To ja. Andrzej Duda". Zapraszamy do Warszawy i Gdańska! 61
Nie mam parcia na cokolwiek. Rozmowa z Aleqsandrą 62

SPOŁECZEŃSTWO

Gdy odwrócimy piękno i dobro... 66

ZWIĄZEK

Co w związku 70

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 13
GAC 21
SKWIECIŃSKI 35

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 31
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 39
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 52
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 57
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność"

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS" na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl de96da4d7d

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Rafał Woś

Co się stało z naszą stalą?

Przed rokiem 1989 w Polsce produkowano 15 mln ton stali rocznie. Dziś krajowa produkcja to mniej niż połowa tego, co było kiedyś.

A przecież to nie jest tak, że nasz świat stał się nagle bezstalowy, a zapotrzebowanie na nią gwałtownie spadło. To nie tak. Stal pozostaje fundamentem produkcji wielu dóbr, bez których nie można sobie wyobrazić życia, do jakiego przywykliśmy. Bez hutnictwa nie byłoby ani budowli, w których mieszkamy czy pracujemy, ani uzbrojenia, bez którego bylibyśmy zdani na łaskę i niełaskę dowolnego wroga.

Dziś widać to wszystko nawet lepiej niż w pierwszych latach polskiego zachłyśnięcia kapitalizmem. Wtedy z cielęcą wręcz naiwnością wielu zdawało się wierzyć, że nowoczesne gospodarki oparte będą na czystych i schludnych usługach oraz finansach. A wszystkie stare, brudne i cuchnące gałęzie – pożal się Boże – przemysłu ciężkiego to nieestetyczny brzuszek, który musimy czym prędzej zgubić, chcąc uchodzić za pełnowartościowych Europejczyków. Na swoje pocieszenie mamy to, że wiele krajów i społeczeństw zachodnich popadło w tamtym czasie w podobne halucynacje. To wówczas Europa zaczęła osuwać się w straszliwe uzależnienie od dostaw rosyjskiego gazu, a Stany Zjednoczone pozwoliły Chinom zdominować rynek wydobycia i przetwórstwa metali ziem rzadkich. Ale to tylko częściowe pocieszenie, bo przecież u nas procesy dezindustrializacji zaszły najszybciej w całej Europie – no, może z wyjątkiem Wielkiej Brytanii.

Najgorsze jest jednak to, że w branżach takich jak hutnictwo procesy wygaszania mocy wytwórczych wcale nie zostały w Polsce odwrócone. Przeciwnie – logika unijnych polityk klimatycznych opiera się przecież na wymuszaniu dekarbonizacji. Głównie poprzez mechanizm ETS, czyli handlu pozwoleniami na emisje. Dziś rządzący Polską liberałowie każą nam ich wielbić za to, że – być może – uda im się załatwić przesunięcie startu ETS2 o rok. Tymczasem ETS1 jak niszczył, tak niszczy dalej polski przemysł stalowy, czyniąc jego wytwory droższymi i mniej konkurencyjnymi od tych powstających w innych częściach świata, w których klimatycznych danin do torturowania własnej wytwórczości się nie stosuje.

Co jeszcze musi się wydarzyć, by doszło do zmiany kursu? Wojna? Już jest. Zerwanie łańcuchów dostaw? Było w czasie covidu i potem. Kryzys globalizacji? Trwa przecież w najlepsze! Rzeczywistość już od dawna woła do naszych decydentów, by chuchać i dmuchać na rodzimą produkcję takich surowców jak stal, a nie ją radośnie wygaszać.

eprasa.pl de96da4d7d

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

GASNĄCE piece

Stal Rzeszów, Stal Mielec, Stal Stalowa Wola, ale też Stal Bielsko-Biała, Stal Brzeg, Stal Głowno, Stal Gorzów, Stal Grudziądz, Stal Jasień, Stal Kraśnik, Stal Łańcut, Stal Sanok, Stal Szczecin, Stal Zawadzkie... Wielość nazw piłkarskich drużyn ze stalą w nazwie najlepiej chyba pokazuje, **jak ważny był** to dla Polski surowiec. A przecież mamy jeszcze drużyny z hutnikiem czy metalowcem (Łódź, Łambinowice) w nazwie. Większość z nich szczyci się dziś liczącą ponad 70, 80 lat historią. Różne były losy tych drużyn, różne koleje losu w najniższych i najbardziej prestiżowych ligach, zmieniały się „ruchome" części nazw i afiliacje zakładowe i sponsorskie. Wszystkie łączy jednak fakt, że dłużej lub krócej związane były ze światem polskich zakładów przemysłowych różnych branż: telekomunikacyjnej, motoryzacyjnej, stoczniowej czy hutniczej, zawsze jednak z tym stalowym komponentem w procesie produkcji.

Krzysztof Karnkowski

Drużyny te wciąż działają, czasem owiane ogólnopolską sławą, czasem znane przede wszystkim w swojej okolicy, jedne mają poważnych sponsorów, inne opierają się głównie na budżetach samorządowych. Gdy wczytać się w ich historię, znajdziemy tam cień dawnej przemysłowej potęgi. Czasem dotykających dziejów sprzed 1918 roku, rozwijanych w dwudziestoleciu międzywojennym (uderza, jak wiele drużyn ma powiązania z Centralnym Okręgiem Przemysłowym), wreszcie pamiętających komunistyczną industrializację. Wiele zakładów, przy których działały te drużyny, dziś nie istnieje lub jest tylko cieniem samych siebie sprzed lat.

Koniec historii

Przy tworzeniu tej listy zszokowała mnie zwłaszcza nazwa Stal Zawadzkie. Huta w Za-

Fot. Adobe Stock



wadzkiem powstała jeszcze w latach 30. XIX wieku z inicjatywy hrabiego Andrzeja Marii Renarda. Do 1939 roku zakład produkował głównie na rzecz kolei, by w czasie II wojny światowej, jak większość branży, przestawić się na produkcję militarną. W okresie PRL, po wybudowaniu na zlecenie Centralnego Zjednoczenia Przemysłu Stali Specjalnych nowej walcowni, zakład stał się kluczowym na mapie gospodarczej PRL producentem rur bezszwowych, istotnych dla preferowanego przez władze przemysłu ciężkiego. Po upadku komunizmu zakład restrukturyzowano i rozczłonkowano, co według Dariusza Brzęczka, przewodniczącego Solidarności na Opolszczyźnie, stało się zaczątkiem późniejszego upadku. W 2010 roku walcownię sprywatyzowano, a następnie zlikwidowano we wrześniu 2024 roku. „Można powiedzieć, że gmina Zawadzkie powstała dzięki hutnictwu i przemysłowi. Wraz z upadkiem huty sytuacja bytowa mieszkańców zaczęła się pogarszać. Ostatnią twierdzą przemysłu w gminie była właśnie Walcownia Rur „Andrzej", której pracownicy podtrzymywali hutnicze tradycje. Pracowały tu całe rodziny, a nawet pokolenia. Decyzja o likwidacji zakładu w maju tego roku była dla nich jak grom z jasnego nieba. Nie chcieli się poddać, czego wynikiem był protest nagłośniony w lokalnych i krajowych mediach. Jednak spółka Alchemia, właściciel walcowni, konsekwentnie przeprowadziła grupowe zwolnienia" – pisała Sabina Grzesik-Kędziora w tygodniku „Strzelec Opolski". Dodajmy, że niedaleko, nad tą samą rzeką Mała Panew, leży najdłużej działająca Huta „Małapanew", powstała jeszcze w XVII wieku na rozkaz króla Prus Fryderyka II. To w tej hucie po raz pierwszy w Europie węgiel drzewny zastąpiono koksem. W tej hucie w 1798 roku powstał też most nad Małą Panwią, dziś najstarszy żelazny most wiszący w Europie. Wiek XX, z wyłączeniem ostatnich dekad, był okresem wielkiego wzrostu huty, która stała się ważnym ośrodkiem kształcenia polskich odlewników. Inaczej niż Walcownia „Andrzej" Małapanew po restrukturyzacji i kilku zmianach właścicieli wciąż działa.

Stal krzepi

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Polska odziedziczyła trzy odmienne systemy gospodarcze – pruski, rosyjski i austriacki – o bardzo różnym poziomie industrializacji. Najbardziej rozwinięty przemysł hutniczy znajdował się w byłym zaborze pruskim

(Górny Śląsk) oraz w części Kongresówki (Zagłębie Dąbrowskie). Galicja natomiast – mimo tradycji hutnictwa żelaza (np. dolina Sanu i Wisłoka) – była gospodarczo zacofana. W latach 20. Polska była jednym z 15 największych producentów stali w Europie, jednak wciąż pozostawała uzależniona od importu technologii i maszyn. Podstawą były huty produkujące surówkę żelaza i stalownie. Głównymi nabywcami ich produkcji były przemysł zbrojeniowy, kolej i budownictwo. W dwudziestoleciu międzywojennym prowadzono politykę stopniowej nacjonalizacji hutnictwa. W branżę dość mocno uderzył wielki kryzys, w wyniku którego dramatycznie spadło zatrudnienie, a produkcja wróciła do poziomu sprzed wojny. Później jednak hutnictwo w Polsce zyskało nowy rozpęd dzięki dużym programom rządowym. Dzięki nim do dotychczasowych ośrodków hutniczych, skupionych głównie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, dołączył Staropolski Okręg Przemysłowy, który później rozwinął się w Centralny Okręg Przemysłowy. W ten sposób rozbudowano istniejące zakłady w Starachowicach i rozpoczęto budowę kombinatu i towarzyszącego mu nowego miasta – Stalowej Woli. Dla Polski międzywojennej rozbudowa hutnictwa oraz całego przemysłu miała potężny wymiar zarówno psychologiczny, jak i propagandowy, stanowiąc symbol siły odrodzonego państwa polskiego. Kolejna wojna przestawiła znów huty na produkcję wojenną, dochodziło też do grabieży sprzętu przez sowieckich i niemieckich okupantów, jednak wielkie inwestycje przetrwały swoich inwestorów i stały się podstawą przemysłu Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

Ballada o Nowej Hucie

PRL jako państwo robotników i chłopów, za jakie chciała się uważać, oczywiście jeszcze mocniej stawiała na huty będące ważnym elementem ukochanego przez władzę ludową przemysłu ciężkiego. Olbrzymie kombinaty metalurgicznie miały być narzędziem zmiany nie tylko industrializacyjnej, lecz także społecznej, a nawet politycznej. To ostatnie komunistom udało się tak dobrze, że to huty wielokrotnie stawały się ważnym ośrodkiem oporu przeciw ich władzy i inżynierii społecznej. „Ojciec Bóg wie gdzie/ Martenowski stawiał piec" – śpiewał Perfect na początku lat 80. w „Autobiografii". Być może robił to w Krakowie, gdzie w latach 50. powstała sztandarowa inwestycja wczesnej PRL – Nowa Huta. Martenowskie piece szybko stały się zresztą przestrzałe, zaczęły powodować straty surowca. Decyzję o budowie Nowej Huty podjęto w 1949 roku w ramach planu sześcioletniego (1950–1955). Miała być „sztandarową inwestycją socjalizmu", dowodem na to, że Polska Ludowa potrafi samodzielnie stworzyć nowoczesny przemysł ciężki i zbudować nową klasę robotniczą. Zakład i otaczająca go dzielnica, utrzymana w stylu późnego socrealizmu, miały stać się antytezą konserwatywnego, sprawiającego komunistom problemy Krakowa. Wielką budowę opiewać miała wielka poezja. I piosenki, które choć nie stały się przebojami, były dość długo promowane przez władzę. „Nie sposób ocenić, ile powstało utworów masowych poświęconych Nowej Hucie. Wiadomo jednak, że musiało ich być całkiem sporo, bowiem przez cały czas istnienia PRL nie tylko wydawano śpiewniki z kompozycjami masowymi, w których zamieszczano piosenki o nowohuckim kombinacie, ale także organizowano rozliczne konkursy na pieśń najlepiej oddającą jego uroki" – pisze Małgorzata Sułek w naukowym opracowaniu „Pieśni masowe o Nowej Hucie". Do dwóch przypominanych przez Sułek utworów muzykę napisał sam Witold Lutosławski. Powstawały też filmy – choćby propagandowy debiut Andrzeja Munka „Kierunek Nowa Huta!", czyli typowy stalinowski produkcyjniak. Z poezją natomiast nie do końca wyszło, choć zgodne z życzeniem władz wiersze napisali m.in. Wisława Szymborska czy Jan Brzechwa. Opublikowany w 1955 roku „Poemat dla dorosłych" Adama Ważyka, dotąd znanego z dobrze napisanych, lecz skrajnie propagandowych wierszy, zaszokował brutalnym opisem rzeczywistości PRL, w tym warunków pracy i życia zatrudnionych w Nowej Hucie. I choć zarówno Ważyk, jak i drukujący jego tekst naczelny „Nowej Kultury" Paweł

SZCZYT PROPAGANDA OSIĄGNĘŁA W CZERWCU 1978 ROKU, GDY RADZIECKI POJAZD KOSMICZNY SOJUZ 30 NA STACJĘ KOSMICZNĄ SALUT-T ODLECIAŁ, MAJĄC NA POKŁADZIE POLAKA MIROSŁAWA HERMASZEWSKIEGO I... SZTANDAR HUTY KATOWICE.

eprasa.pl de96da4d7d

Hoffmann mieli spore problemy po tej publikacji, wywołała ona dyskusję, w efekcie której doszło do zmian w kierownictwie huty i miejscowej organizacji partyjnej. „Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą zbudować hutę, wyczarować miasto, wykopać z ziemi nowe Eldorado, armią pionierską, zbieraną hałastrą tłoczą się w szopach, barakach, hotelach, człapią i gwiżdżą w błotnistych ulicach. [...] Polska nieczłowiecza wyjąca z nudy w grudniowe wieczory... W koszach od śmieci na zwieszonym sznurze chłopcy latają kotami po murze, żeńskie hotele, te świeckie klasztory, trzeszczą od tarła, a potem grafinie miotu pozbędą się" – to nie był komunikat, na który czekali PRL-owscy spece od propagandy. Nadchodziła jednak odwilż. Nowa Huta, bardziej w klimacie Ważyka niż Szymborskiej, powróci jeszcze w „Człowieku z żelaza" Andrzeja Wajdy.

Huta TV

Kto załapał się na lata 70., ten pamięta na pewno, jak wiele uwagi gierkowska propaganda sukcesu poświęcała budowanej wówczas Hucie Katowice. Było to kluczowe dla pochodzącego ze Śląska Edwarda Gierka przedsięwzięcie, zatwierdzone przez zjazd partii na jego osobiste życzenie. To tam starsi harcerze jeździli do pracy, by wyrwać się ze swoich małych miasteczek, a telewizja, radio i prasa relacjonowały budowę niemal na żywo. Szczyt propaganda osiągnęła w czerwcu 1978 roku, gdy radziecki pojazd kosmiczny Sojuz 30 na stację kosmiczną Salut-t odleciał, mając na pokładzie Polaka Mirosława Hermaszewskiego i... sztandar Huty Katowice. Jednak na ziemi sprawy nie wyglądały tak dobrze, jak mogłoby się zdawać, i podobnie jak w przypadku Nowej Huty wielu pracowników przez pierwsze lata musiało żyć w nie najlepszych warunkach mieszkaniowych. Ponieważ były to już bardziej czasy filmu i telewizji niż poezji, to na ekranie szukać powinniśmy śladów wielkiej gierkowskiej budowy. Poświęcone jej były między innymi siedmioodcinkowy serial „Miejsce na ziemi", w którym znów jak w latach 50. do nowego zakładu ciągną ludzie z całego kraju. Z kolei Janusz Kidawa nakręcił film „Pejzaż horyzontalny" poświęcony perypetiom i niesnaskom pośród załogi. Jako ciekawostkę warto odnotować, że w „Pejzażu" obok znanego przede wszystkim z późniejszych „Zmienników" Stanisława Barei Mieczysława Hryniewicza występuje również dziennikarz i przyszły polityk Porozumienia Centrum Jacek Maziarski. Huta produkuje dużo, zatrudnia tysiące osób i wpływa znacząco na rozmowy całego regionu, nie chroni jej to jednak przed niektórymi kłopotami, które dotykają branżę po zmianie systemu.

ISTOTNYM ELEMENTEM ZAŁAMANIA HUTY WARSZAWA BYŁ – TAK SAMO JAK DZIŚ – GWAŁTOWNY WZROST CEN ENERGII UDERZAJĄCY W RENTOWNOŚĆ PRODUKCJI I OBOJĘTNOŚĆ RZĄDZĄCYCH LIBERAŁÓW NA TEN PROBLEM.

Koniec imperium

Sytuację polskiego hutnictwa po roku 1989 w piosence „Jeszcze Polska" Kazik Staszewski streścił słowami „Starszy człowiek w barze mlecznym je kartofle z ogórkami/ Całe życie tyrał w hucie, a do huty dokładali/ Cała jego ciężka praca, wszystko było ch**a warte/ Gdyby leżał całe życie, mniejszą czyniłby on stratę". Huty potraciły komunistycznych patronów w rodzaju Lenina, niestety jednak równocześnie skończyła się stabilizacja i tak od lat niedomagającej gospodarki opartej na centralnym planowaniu. Od głównych zakładów odłączano kolejne wydziały, zwalniano ludzi, wreszcie prywatyzowano – choć był to proces rozłożony na lata. Do pewnej stabilizacji doszło na niedługo przed wejściem do Unii, gdy na rynek wszedł Arcelor. Właściciele największych hut zmieniali się wielokrotnie, a większość zmian łączyła się ze zwolnieniami pod hasłem restrukturyzacji. Przy okazji w ośrodkach takich jak choćby Stalowa Wola znikała cała społeczno-kulturalna infrastruktura związana z zakładami pracy. Problemem była też sytuacja mieszkaniowa. Nim sprawę uregulowano, bardzo często wraz z fabrykami w prywatne ręce przechodziły prawa do mieszkań zakładowych, w których mieszkali zatrudnieni w nich pracownicy. Tak stało się między innymi w Warszawie, gdy Włosi z koncernu Lucchini kupili Hutę Warszawa. Co ważne, istotnym elementem załamania – tak samo jak dziś – był gwałtowny wzrost cen energii uderzający w rentowność produkcji i obojętność rządzących liberałów na ten problem. Historia hut w Polsce jeszcze się nie skończyła, czy jednak musi kolejny raz się powtarzać?

eprasa.pl de96da4d7d

Polska stal stygnie

Stal, która przez dekady hartowała polską gospodarkę, dziś sama **potrzebuje wsparcia**. Polski przemysł hutniczy dotykają nie tylko skutki agresywnej polityki klimatycznej UE, ale także import ukraińskiej stali i odpływ złomu z kraju. A rządzący zdają się tych problemów nie dostrzegać.

Barbara Michałowska



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl de96da4d7d

Już dziś kraj jest w niebezpieczny sposób uzależniony od międzynarodowych łańcuchów dostaw w kluczowych obszarach: półprzewodników, metali ziem rzadkich, surowców do produkcji baterii i energii. Zależności te pokazały, jak wrażliwa jest wysoko rozwinięta gospodarka, gdy powierza swoje surowce obcym mocarstwom. Stal nie jest zwykłym produktem, ale podstawą przemysłu. Bez własnych hut nie ma czołgów, torów kolejowych, turbin wiatrowych, stoczni ani przemysłu maszynowego. Kto pozbawi się stali, traci zdolność do samodzielnego zapewnienia sobie bezpieczeństwa gospodarczego i narodowego – napisał niedawno „Schwäbische Zeitung" z Ratyzbony, a cytuje go Onet. Choć podobne słowa można by odnieść do sytuacji w Polsce, dotyczą one stanu niemieckiego przemysłu stalowego.

Szczyt stalowy

Za naszą zachodnią granicą nie tylko prasa, ale również eksperci i część polityków biją już na alarm w sprawie przemysłu, któremu bardzo realnie grozi zapaść.

Jak podaje euronews.pl, według szacunków Niemieckiego Instytutu Gospodarczego (IW) około 605 tysięcy miejsc pracy w tym kraju zależy od branży stalowej. Według innego badania bez krajowej produkcji stali niemieckiej gospodarce groziłaby roczna utrata wartości dodanej w wysokości do 50 miliardów euro.

Przypomnijmy, jak wynika z raportu Eurofer, Unia Europejska odpowiada obecnie jedynie za ok. 14 proc. światowej produkcji stali, choć jest drugim co do wielkości producentem tego produktu na świecie. Najwięcej na naszym kontynencie produkują jej Niemcy.

Produkcja stali w UE jednak w ostatnich latach systematycznie spada. Jak wynika z badania Eurofer, Europa wyprodukowała 130 milionów ton stali surowej w 2024 roku, a jeszcze w 2010 roku – około 170 milionów ton.

Ostatnio kanclerz Niemiec Friedrich Merz zwołał szczyt stalowy z udziałem przedstawicieli pracodawców i pracowników tego strategicznego przemysłu. „Jeśli wierzyć argumentom niemieckiego przemysłu stalowego zagrożonego egzystencjalnie przez konkurencję, sprawa jest jasna: rząd Niemiec i Bruksela mają obowiązek udzielić branży zdecydowanego wsparcia" – konstatowali po spotkaniu dziennikarze „Frankfurter Allgemeine Zeitung" cytowani przez Onet.

Kryzys

Polska zmaga się z podobnymi problemami, tyle że spotęgowanymi. Ponad dwadzieścia lat po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej przemysł hutniczy, niegdyś jeden z filarów krajowej gospodarki i źródło tożsamości wielu regionów, znalazł się w najpoważniejszym kryzysie od lat dziewięćdziesiątych. Dziś zakłady toną w kosztach energii, opłatach za emisję CO_2 i presji taniej stali spoza UE.

Nierówne zasady gry

– Generalnie są trzy główne problemy, z którymi mierzy się polska branża hutnicza i od których zależy opłacalność produkcji stali. Po pierwsze – jest to import stali z Ukrainy, po drugie – są to wysokie ceny energii elektrycznej, a po trzecie – wypływ złomu za granicę. Europa jest dzisiaj obok Stanów Zjednoczonych jednym z dwóch obszarów, gdzie produkuje się złom. Mamy go bardzo dużo, ale w równie gigantycznych ilościach ten złom wypływa poza Europę do Turcji, Indii i Chin. Złom to podstawowy materiał wsadowy, który stanowi ponad połowę kosztów produkcji stali. Jeśli rynek złomu nie będzie chroniony, to będziemy mieli ogromny problem z opłacalnością produkcji. Im więcej złomu wypłynie z Polski, tym wyższa będzie jego cena i tym droższa będzie stal – podkreślał z kolei w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" Robert Gonera, przewodniczący Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność" w Hucie Częstochowa.

HUTNICTWO STOI DZIŚ NA ROZDROŻU. POTRZEBNE SĄ: DŁUGOFALOWA STRATEGIA I AKTYWNY DIALOG SPOŁECZNY.

– Od grudnia 2023 roku straciliśmy 1200 miejsc pracy, tylko jeżeli chodzi o nasz przemysł hutniczy. 1200 miejsc pracy jest nie do odtworzenia, i to m.in. w sektorze rurowym, tak bardzo potrzebnym np. do budowy sieci gazowniczych. Bez refleksji likwidujemy nasz przemysł i będziemy skazani na sprowadzanie towarów spoza Polski – mówił w maju tego roku Andrzej Karol, przewodniczący Rady Krajowej Sekcji Hutnictwa NSZZ „Solidarność".

Unijna polityka klimatyczna, zakładająca neutralność emisyjną do 2050 r., wymusza na przemyśle stalowym kosztowną transformację. System handlu uprawnieniami do emisji CO_2 (ETS) powoduje, że każda tona wyprodukowanej stali obarczona jest dopłatami za emisję. Europejskie huty – w tym polskie – płacą za emisje, których nie muszą ponosić producenci z Chin, Indii czy Turcji. Jak podkreślają związkowcy, UE nie ma jednolitej stawki energii dla wszystkich krajów,

eprasa.pl de96da4d7d

a Polska ma jedną z najwyższych cen energii.

„To nie jest konkurencja, to nierówne zasady gry" – zaznaczają.

– To pełne hipokryzji ze strony KE, że wpuściła do Europy bez limitu stal ukraińską, która nie jest obarczona żadnymi ograniczeniami, nawet w obszarze gatunkowości czy ilościowości – podkreślał w rozmowie z Tysol.pl Andrzej Karol. Jeszcze miesiąc temu mówił także: – Dla nas najgorszą sprawą obecnie jest wpuszczenie od 6 czerwca na kolejne 3 lata produktów ukraińskich do Polski. [...] Podam przykład tylko tzw. prętów żebrowanych, inaczej zbrojonych, używanych m.in. w szeroko rozumianym budownictwie. Wzrost tego, co dociera do nas z Ukrainy, jest kilkukrotny. Na 3 miliony ton stali, które się pojawiły w ubiegłym roku na rynku europejskim, milion został w naszym kraju.

Według niego w tym roku proporcje mają być jeszcze mniej korzystne dla Polski.

W tym samym czasie rośnie presja, by modernizować produkcję w kierunku tzw. zielonej stali – wytapianej w piecach elektrycznych z wykorzystaniem złomu lub wodoru. Problem w tym, że na taką inwestycję potrzeba miliardów złotych i kilkunastu lat.

Nie ma nici porozumienia z rządem

Solidarność od początku 2024 roku kilkakrotnie protestowała pod Sejmem i Kancelarią Premiera, żądając wsparcia dla przemysłu energochłonnego. Jak dotąd rząd nie przedstawił jednak kompleksowego programu pomocowego.

Problem hutnictwa nie sprowadza się tylko do ekonomii. Od lat związkowcy zwracają uwagę na chaos decyzyjny w rządzie i brak spójnej polityki przemysłowej.

– Niestety z obecnym rządem nie znajdujemy w tym temacie żadnej nici porozumienia. Nie ma żadnych rozmów. Tak zwana strategia zrównoważonego rozwoju przemysłu hutniczego, rozpoczęta przez Ministerstwo Przemysłu, została tak rozbudowana, że strona społeczna musiała z rozmów nad nią po prostu wystąpić. Za nami wystąpili również pracodawcy i obecnie w zasadzie jest całkowity impas. Rząd nie ma żadnego pomysłu, co ma się dziać dalej z hutnictwem – mówił nam na początku października Andrzej Karol.

> TAK ZWANA STRATEGIA ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU PRZEMYSŁU HUTNICZEGO, ROZPOCZĘTA PRZEZ MINISTERSTWO PRZEMYSŁU, ZOSTAŁA TAK ROZBUDOWANA, ŻE STRONA SPOŁECZNA MUSIAŁA Z ROZMÓW NAD NIĄ PO PROSTU WYSTĄPIĆ.

Teraz dodaje: – W Niemczech problemy branży przebijają się do świadomości władz i rząd na nie reaguje, wprowadzając np. maksymalną cenę za energię na poziomie 50 euro za megawatogodzinę. W Polsce mówi się o podwyższeniu m.in. opłaty jakościowej, podczas gdy od dawna domagaliśmy się całkowitego jej zniesienia.

„Nie można po prostu wyłączyć pieca"

Według wyliczeń ekspertów przy braku działań do 2030 r. z polskiego hutnictwa może zniknąć nawet 30 proc. miejsc pracy.

– Dlatego apelujemy do ministra Michała Jarosa o pilne spotkanie zespołu trójstronnego, który mógłby wypracować rozwiązania tej trudnej sytuacji – zaznacza przewodniczący Karol.

Związkowcy obawiają się, że jeśli w hutnictwie nie zajdą zmiany, ta branża po prostu się z Polski zwinie.

Młodzi nie widzą tu przyszłości. Doświadczeni fachowcy odchodzą na emeryturę lub emigrują. Według danych Centralnego Ośrodka Informacji Gospodarczej liczba pracowników hutnictwa w Polsce spadła z ponad 70 tysięcy w 2004 r. do niespełna 40 tysięcy w 2024 r.

– Nie prosimy o jałmużnę, chcemy pracować, a nie głodować – mówili protestujący w tym roku pracownicy hut. – Bez hutnictwa nie ma przemysłu, a bez przemysłu nie ma państwa – dodawali.

Związkowcy zaś przypominają, że na każde jedno miejsce pracy w hucie przypadają średnio trzy miejsca w sektorach zależnych – logistyce, transporcie, energetyce i budownictwie. Upadek hut oznacza więc znacznie szersze skutki społeczne.

Hutnictwo stoi dziś na rozdrożu. Potrzebne są: długofalowa strategia i aktywny dialog społeczny.

– Nie można po prostu wyłączyć pieca i powiedzieć ludziom, żeby się przebranżowili – mówią hutnicy.

eprasa.pl de96da4d7d

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Powrót Króla Bajeru

„Jako pierwsi ostrzegaliśmy przed dramatycznymi skutkami zielonej ideologii". Jak państwo myślą, kto to powiedział? Jarosław Kaczyński? Inny znany działacz PiS-u? Ktoś z Konfederacji? Andrzej Duda? Piotr Duda? Karol Nawrocki? Jakiś „oszołom"? „Populista"? „Skrajny prawicowiec"? Nikt taki.

Te słowa po niedawnym szczycie Unii Europejskiej wypowiedział Donald Tusk. Jak widać, nie na darmo przed kilkunastoma laty w związku ze swoimi wojażami zagranicznymi i wciskaniem kitu obecny premier otrzymał pseudonim „Słońce Peru – Król Bajeru".

Bajer to jego jedyny stały pogląd. Kimże on nie był? Raz czytał Friedricha Augusta von Hayeka i był w partii fanatyków prywatyzacji, zwanej „aferałami", a raz ogłaszał się „prawie socjaldemokratą". Raz brał w obronę Augusta Pinocheta, a raz przestrzegał przed „prawicowym autorytaryzmem". Raz reset z Putinem, a raz doszukiwanie się „prorosyjskości" w partii, która przed Rosją ostrzegała od dekad. Jak wiaterek zawieje, tak chorągiewka się obraca.

Teraz został królem bajeru w sprawie polityki klimatycznej. Tusk pochwalił się niedawno, że „rozbroił" unijną politykę ETS2. Tę, która grozi załamaniem europejskiego i polskiego przemysłu. Tę, która oznacza dla zwykłych ludzi drastyczne wzrosty cen energii, ogrzewania, paliwa i wielu produktów.

Na czym polega „rozbrojenie" ETS2 w wykonaniu Tuska? Na tym, że termin wejścia systemu w życie przełożono o zaledwie rok – na początek 2028. Nie tylko tym szczegółem „zapomniał" się pochwalić. Nie wspomniał, że o przesunięciu terminu zdecydował nacisk kilku państw. A przede wszystkim narastanie oporu społeczeństw Europy wobec „ekologii" robionej kosztem ubogich i średniaków.

Tusk nie mówi też o tym, że drenujący portfele mechanizm ETS2 to pomysł europejskiego establishmentu liberalnego. Tego samego, którego częścią jest obecny premier RP. Tego samego, który wspierał go w powrocie do władzy, jak tylko mógł.

A już zupełnie nie mówi Tusk o tym, że gdy on i jemu podobni forsowali antyspołeczną politykę „ekologiczną", ktoś zupełnie inny miał odwagę protestować.

To Solidarność od lat wskazywała, że taka „polityka klimatyczna" wykończy przemysł i miejsca pracy w Europie i w Polsce. To ten związek „prawicowych oszołomów" przygotował fachowe raporty o ETS2, mówiące o dotkliwym uderzeniu w nasze portfele. To rolnicy blokowali drogi, gdy narzucano im ekologię, zamiast do niej sensownie przekonywać. To związki zawodowe – zrzeszające „ciemnych roboli", a nie „oświecone elity" – przestrzegały, że czeka nas koszmar, jeśli ETS wejdzie w życie. Zaledwie dwa tygodnie temu związkowcy ponad podziałami wspólnie demonstrowali w Katowicach w obronie przemysłu przed niszczeniem go w imię pseudoekologii – z PO nie było tam nikogo.

To politycy nieliberalni byli całkowicie lub częściowo przeciw planowanym rozwiązaniom. To „populiści" uważali, że stracą na tym miliony zwykłych ludzi. To formacje wyklinane i potępiane przez unijny establishment ostrzegały przed kontynuacją takiej polityki.

Dzisiaj konia kują, a Król Bajeru nogę podstawia.

eprasa.pl de96da4d7d

Nie mamy szans przy nierównej konkurencji

– Sprowadzamy stal z Brazylii, Indii czy Krzywego Rogu, gdzie jej produkcja jest o wiele bardziej emisyjna niż u nas, transportując ją statkami z potężnymi silnikami diesla przez pół świata. Jednocześnie wstrzymujemy pracę linii i zakładów, w których sami możemy produkować w o wiele bardziej ekologicznych warunkach. Jaka jest w tym logika? – mówi **Mirosław Nowak**, przewodniczący MOZ NSZZ „Solidarność" ArcelorMittal Poland S.A. w Dąbrowie Górniczej, w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

– Co obecnie jest największą bolączką przemysłu hutniczego w Polsce?

– O bolączkach przemysłu hutniczego, ale myślę, że również całego przemysłu energochłonnego, mówimy od dawna. To przede wszystkim cena energii, ponieważ stanowi dużą część kosztów produkcji stali, a w ostatnich latach wzrosła nawet o 80%. Mówi się, że mamy najdroższą cenę energii w Europie i jedną z najdroższych w świecie. To poważny problem. Drugie zagadnienie to ochrona naszego rodzimego rynku przed eksportem stali z innych rejonów świata, gdzie nie obowiązują zapisy tzw. Zielonego Ładu czy ETS. Podkreślić przy tym należy, że my nie boimy się uczciwej konkurencji, ale nas wykańczają opłaty środowiskowe, których takie państwa jak np. Chiny, Indie, Wietnam czy Ukraina nie ponoszą. Zalew stali ze wschodu jest dla nas zabójczy.

– Przed naszą rozmową Dariusz Brzęczek, szef opolskiej Solidarności, mówił w Radiu Opole, że Polska konsumuje 13 mln ton stali, z czego 11 mln sprowadzanych jest z zagranicy. Faktycznie jest aż tak źle?

> ZAMYKAMY NASZE DOBRE, CORAZ BARDZIEJ EKOLOGICZNE, INSTALACJE I SPROWADZAMY STAL Z KRAJÓW, W KTÓRYCH NIKT NIE PRZEJMUJE SIĘ OCHRONĄ ŚRODOWISKA.

– Około 80% popytu na stal w Polsce zaspokajamy importem. Efekt jest taki, że my zamykamy nasze dobre, coraz bardziej ekologiczne, zmodernizowane instalacje i sprowadzamy stal z krajów, w których nikt nie przejmuje się ochroną środowiska podczas produkcji ani bezpieczeństwem pracy hutników. Oznacza to, że dbamy o miejsca pracy i utrzymanie, ale nie Polaków, nawet nie Europejczyków, tylko innych ludzi.

– W Dąbrowie Górniczej został zatrzymany wielki piec. Dla ludzi niezwiązanych z regionem może to nie być news dnia, jednak dla tysięcy pracowników huty i firm z nią kooperujących taka informacja włącza wszystkie dzwonki alarmowe.

– Boimy się tzw. scenariusza krakowskiego, w którym piec miał być wyłączony czasowo, tak jak teraz w ArcelorMittal Poland S.A. w Dąbrowie Górniczej nas zapewnia pracodawca. Jednak wielki piec w Krakowie nie został uruchomiony ponownie i ostatecznie zamknięto tam całą część surowcową huty. Efektem tego z kilkunastu tysięcy zatrudnionych zostało niecałe 1700 pracowników. Mamy nadzieję, że u nas wstrzymanie pracy pieca numer 3, które nastąpiło we wrześniu, jest czasowe. Gdyby jednak praca wielkiego pieca nr 3 nie została wznowiona, byłby to dramat dla samych pracowników huty i naszych rodzin, ale także firm kooperujących, przedsiębiorstw zajmujących się obrotem materiałami stalowymi, dla rynku usług lokalnych oraz dla miasta, a nawet regionu. Tutaj całe

eprasa.pl de96da4d7d



Fot. arch. Agnieszka Sęgda

rodziny żyją z pracy bezpośrednio w hucie lub w firmach współpracujących z hutą. Tych drugich jest nawet więcej niż samych hutników. Bramę ArcelorMittal Poland w Dąbrowie Górniczej codziennie przekracza ponad 7 tys. pracowników, często pracują tutaj małżeństwa.

– Jakie znaczenie dla samej Dąbrowy Górniczej ma huta?

– Miasto zaczyna się mocno niepokoić. Prezydent Dąbrowy Górniczej Marcin Bazylak zwrócił się z bezpośrednim apelem do premiera Donalda Tuska o osobiste zaangażowanie i podjęcie pilnych działań na rzecz ratowania przemysłu hutniczego i koksowniczego w Polsce, któremu aktualnie grozi stałe wstrzymanie produkcji i likwidacja. ArcelorMittal Poland nie tylko daje pracę mieszkańcom, ale płaci też dość wysokie podatki do kasy miasta. To firma, która dostarcza również ciepło i podejmuje wiele lokalnych inicjatyw.

– Produkcja jednej tony stali w wielkim piecu to emisja 2 ton CO_2, a uprawnienie do emisji tony CO_2 w systemie ETS kosztuje ok. 70 euro. Polska stal jest przez to 150 euro droższa na tonie od stali spoza UE, gdzie nie obowiązuje Zielony Ład.

– Do tego dochodzi subsydiowana energia przy produkcji w innych krajach. Nie mamy szans przy tak nierównej konkurencji. Sprowadzamy stal z Brazylii, Indii czy Krzywego Rogu, gdzie jej produkcja jest o wiele bardziej emisyjna niż u nas, transportując ją statkami z potężnymi silnikami diesla przez pół świata. Jednocześnie wstrzymujemy pracę linii i zakładów, w których sami możemy produkować w o wiele bardziej ekologicznych warunkach. Jaka jest w tym logika? Niestety opłaty środowiskowe nas dobijają. My jako

eprasa.pl de96da4d7d

Krajowa Sekcja Hutnictwa NSZZ „Solidarność” i Solidarność w Dąbrowie Górniczej podjęliśmy wiele działań w różnych gremiach i na różnych szczeblach decyzyjności wspierających nie tylko pracowników, ale także całe polskie hutnictwo, w tym naszego pracodawcę. Nie ustajemy w wysiłkach nad uświadamianiem rządzących o branży hutniczej. Spotykaliśmy się w Ministerstwie Przemysłu, kiedy jeszcze istniało, w komisjach sejmowych, Ministerstwie Klimatu i Środowiska, Zespole Trójstronnym ds. Społecznych Warunków Restrukturyzacji Hutnictwa. Te spotkania kontynuujemy, jednak po drugiej stronie nie ma odpowiedniego zaangażowania, wiedzy i działań.

GŁOŚNO WOŁAMY O POMOC, PÓKI JESZCZE JEST CO RATOWAĆ.

– Miałem o to pytać. W ostatnim czasie odbył Pan serię spotkań z politykami i ministrami, jak ocenia Pan stan dialogu rządu ze związkami zawodowymi?

– My dosłownie kształciliśmy polityków, w tym ministrów, w zakresie hutnictwa. Wielokrotnie tłumaczyliśmy, jak wygląda proces produkcji stali i jak wielkie znaczenie – nie tylko dla pracowników, dając utrzymanie ich rodzinom – ma przemysł ciężki. To przecież strategiczna gałąź dla obronności Polski. Politycy już o tym wiedzą. Wiedzą, że mamy doinwestowane, dobre instalacje, wiedzę, umiejętności, fachowców, bardzo dobre jakościowo produkty znacznie przebijające te sprowadzane. Niestety, nawet posiadając tę wiedzę, rządzący nic nie robią, by ratować hutnictwo w Polsce. Na oczach mają „klapki” z Zielonym Ładem i polityką unijną. A my, przewidując konsekwencje tej polityki i już je odczuwając, zdecydowaliśmy się wyjść na ulice. Właściwie zostaliśmy do tego zmuszeni, rozmowy prowadzone przy stole nie są bowiem efektywne. Dlatego organizujemy pikiety, akcje protestacyjne, blokujemy tory itp. Krzyczymy z bezradności, bo chcemy, by w końcu nas usłyszano. Usłyszano i wysłuchano oraz odpowiednio zareagowano. Ostatnio w Katowicach było nas przeszło 10 tys. Ludzie widzą, w jakim kierunku to wszystko zmierza. My głośno wołamy o pomoc, póki jeszcze jest co ratować.

– Na ważną rzecz zwrócił Pan uwagę. Spora część polityków miała wcześniej mgliste pojęcie o hutnictwie. A hutnictwo, górnictwo, motoryzacja czy sektor obronny to system naczyń połączonych, to nerw naszego przemysłu. Trochę to przerażające.

– Też mnie to dziwiło, ale często musieliśmy tłumaczyć specyfikę naszej branży dosłownie od podstaw. Myśleliśmy, że przemysł ciężki i hutnictwo są ważne dla wszystkich, a politycy jako grupa szczególna, bo decyzyjna, powinna mieć wiedzę o gospodarce, o poszczególnych sektorach, o strategicznych dla kraju branżach. Okazało się, że nie tylko tak nie jest, ale co więcej – nie wszyscy byli zainteresowani pozyskaniem tej wiedzy. Jak wielką pracę wykonaliśmy, świadczy wyrażony ostatnio głos jednego z ministrów na sejmowej Komisji Gospodarki i Rozwoju, który w swojej wypowiedzi użył argumentów związkowców, wykazując wagę branży hutniczej.

POLACY ZDAJĄ SOBIE SPRAWĘ, ŻE HUTNICTWO TO NIE TYLKO BRANŻA BUDOWLANA, ALE TAKŻE FILAR BEZPIECZEŃSTWA KRAJU.

– Jak związki zadbały o interesy pracowników na wieść o wstrzymaniu wielkiego pieca?

– Bezzwłocznie po uzyskaniu informacji o takiej decyzji pracodawcy wystąpiliśmy do niego o zawarcie porozumienia zabezpieczającego załogę. W toku negocjacji uzgodniliśmy Porozumienie w sprawie działań łagodzących skutki społeczne w okresie tymczasowego wstrzymania pracy Wielkiego Pieca nr 3 w ArcelorMittal Poland S.A. Oddział Dąbrowa Górnicza. Ustaliliśmy, że wstrzymanie pracy WP3 będzie trwało między sześć a dziewięć miesięcy. Jako NSZZ „Solidarność” podjęliśmy działania we wszystkich oddziałach naszej firmy – w Krakowie, Dąbrowie Górniczej, Świętochłowicach, Sosnowcu i Chorzowie. Rozmawiamy również z politykami – wszystkimi – niezależnie od opcji, poglądów i zainteresowań. Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy wykazują chęć pomocy i działań. Bo taka jest nasza rola – musimy walczyć o nasz zakład, ale przede wszystkim musimy walczyć o ludzi.

eprasa.pl de96da4d7d

– Czy opinia publiczna zdaje sobie sprawę z wagi problemu?

– Wydaje się, że jest coraz bardziej świadoma. Śledziliśmy ostatnio sposób przekazu problemu w mediach i śmiało mogę powiedzieć, że widać dużą różnicę w porównaniu z poprzednimi latami. Ludzie coraz mocniej się tym interesują, solidaryzują się z nami. Myślę, że do społeczeństwa zaczyna docierać, że tak prowadzona polityka dotknie każdego obywatela. Powodzenie było również możliwe dzięki połączeniu sił i wspólnej akcji z innymi centralami związkowymi. Bo gdy walczymy o słuszną sprawę, nie liczą się barwy i przekonania czy sympatie – działamy wspólnie dla dobra ogółu. Dzięki temu też nie rozgrywano nikogo przeciwko nam. Widzę jeszcze jedną rzecz – Polacy zdają sobie sprawę, że hutnictwo to nie tylko branża budowlana, ale także filar bezpieczeństwa kraju. Własna produkcja uzbrojenia w czasie wojny czy zagrożenia nią to fundament bezpieczeństwa.

– Możemy powiedzieć, że to dopiero początek protestów?

– Można tak powiedzieć. Słowne, merytoryczne argumenty nie przynosiły konkretnych efektów. Politycy zaczynali wykorzystywać problem, by zaistnieć w przestrzeni medialnej. Nie o to tu chodzi. Nie da się także prowadzić poważnego dialogu, kiedy z jednej strony premier publicznie mówi o wspieraniu polskiego hutnictwa, a z drugiej podnoszona jest opłata mocowa, a ceny energii zamiast spadać – jak obiecano – pną się w górę. Nie wykluczamy eskalacji naszych działań, ale ciągle podkreślamy, że w każdej chwili gotowi jesteśmy do rozmów przy stole. Tyle tylko, że obietnice trzeba wypełniać. Skoro diagnoza jest postawiona, strona rządowa zgadza się z nami co do kierunków działań, a następnie robi coś odwrotnego, to my jako związkowcy nie mamy wyjścia, zostaje nam ulica.

SKORO DIAGNOZA JEST POSTAWIONA, STRONA RZĄDOWA ZGADZA SIĘ Z NAMI CO DO KIERUNKÓW DZIAŁAŃ, A NASTĘPNIE ROBI COŚ ODWROTNEGO, TO MY JAKO ZWIĄZKOWCY NIE MAMY WYJŚCIA, ZOSTAJE NAM ULICA.

– Co z tzw. stalą ekologiczną? Nazwa ładnie brzmi, ale czy da się z tej stali wyprodukować lufy do czołgu?

– Poruszył Pan bardzo ważną kwestię. Technologia wielkopiecowa daje taką jakość stali, która wytrzyma ogromne przeciążenia. Stal produkowana w piecach elektrycznych ma duże domieszki złomu, co nie daje gwarancji uzyskania najlepszej jakościowo stali, tak potrzebnej dla przemysłu zbrojeniowego. Na technologię wodorową natomiast przyjdzie nam jeszcze poczekać – właśnie w Niemczech zaniechano prób z wodorem przy produkcji stali. To rozwiązanie jest nie tylko bardzo kosztowne, ale także nie daje oczekiwanych efektów.

Mirosław Nowak – zastępca przewodniczącego – sekretarz Krajowej Sekcji Hutnictwa NSZZ „Solidarność”, przewodniczący Międzyzakładowej Organizacji Związkowej NSZZ „Solidarność” ArcelorMittal Poland S.A. w Dąbrowie Górniczej.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl de96da4d7d

Zielony Ład – ekonomiczne harakiri

Klimatyści postawili nam na horyzoncie kolejny cel. Emisje CO_2 muszą zostać zredukowane o 90 proc. do 2040 roku. **Ambicje Unii Europejskiej stają się coraz bardziej wygórowane**, ale w tym szalonym wyścigu Europa nie zauważyła, że... nikt się z nią nie ściga.

Marcin Krzeszowiec



Fot. pixabay

W ciągu ostatnich dwóch dekad w hierarchii światowych priorytetów zaczęto coraz wyżej stawiać zagrożenie polegające na zmianach klimatu. Globalne ocieplenie i jego antropogeniczny charakter stało się priorytetem dla Unii Europejskiej. Uznano, że trzeba zrobić wszystko, by średnia temperatura w skali globu nie wzrosła o więcej niż 2 procent w porównaniu z epoką przedprzemysłową. Porozumienie dla ratowania planety zyskało swoisty immunitet nietykalności. Nawet pandemia i kryzys energetyczny z 2022 roku nie spowodowały zawieszenia systemu ETS. Unia nie zrobiła kroku wstecz, choć rosnące koszty i utrata konkurencyjności unijnych gospodarek sprawiły, że w gabinetach niektórych polityków zielone światełko zmieniło się na żółte.

Podniósł się alarm, ale nie ogłoszono bankructwa zielonej polityki. Przeciwnie – Unia Europejska w listopadzie wyznaczyła kolejny cel pośredni w drodze do neutralności klimatycznej. Redukcja emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. do 2040 roku i przesunięcie zaledwie o rok wejścia w życie systemu ETS2 to przykład lekceważenia głosu tych obywateli, którzy nie chcą, aby transformacja klimatyczna odbijała się na ich stopie życiowej.

Ale jak właściwie doszło do tego, że w dyskusjach o Unii Europejskiej nie sposób dzisiaj nie wspomnieć o zafiksowaniu na punkcie klimatu i ekologii? Korzenie odpowiedzi na to pytanie tkwią w latach dziewięćdziesiątych.

eprasa.pl de96da4d7d

Inicjatywy dla klimatu

Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że pierwszym wiążącym celem klimatycznym Unii Europejskiej była redukcja emisji gazów cieplarnianych o 8 procent w całej Wspólnocie do 2012 roku. Takie zobowiązania wzięło na siebie 15 członków Unii, podpisując w grudniu 1997 roku Protokół z Kioto.

By go wypełnić, ustanowiono mechanizm rynkowy polegający na handlu uprawnieniami do emisji. Tak zwany system ETS został wdrożony do unijnego prawa dyrektywą z 2003 roku i wszedł w życie dwa lata później, w 2005 roku.

Polska była wtedy świeżo upieczonym członkiem Unii Europejskiej, a nasza gospodarka w około 90 procentach czerpała energię z węgla, co zwiastowało nie lada kłopoty.

Po upływie kolejnych dwóch lat, w marcu 2007 roku, polska delegacja poparła konkluzje Rady Europejskiej, w których Unia określiła swoje cele klimatyczno-energetyczne. Wspólnota zadeklarowała, że do 2020 roku zmniejszy emisję gazów cieplarnianych o co najmniej 20 procent, zwiększy udział OZE w wytwarzaniu energii do 20 procent i będzie zużywać 20 procent mniej energii – był to tak zwany pakiet 3x20.

Na podstawie tych konkluzji, które nie były jeszcze prawnie wiążące, przygotowano Pakiet klimatyczno-energetyczny składający się z kilku dyrektyw i decyzji. Przyjęto go w grudniu 2008 roku, by wypełnić wspomniane cele 3x20.

I tak jak apetyt rośnie w miarę jedzenia, tak arytmetycznie wzrastały ambicje zielonych polityków. Ekologiczna rewolucja stopniowo się rozkręcała.

Podwoić wysiłki!

W październiku 2014 roku przywódcy państw członkowskich Unii Europejskiej „uzgodnili najambitniejszą w skali światowej politykę klimatyczno-energetyczną do roku 2030" – tak to wydarzenie określono na oficjalnej stronie Rady Europejskiej.

Zatwierdzono wówczas ramy nowej polityki, której wyznacznikami stały się: redukcja emisji gazów cieplarnianych o 40 procent do 2030 roku, co najmniej 27-procentowy udział OZE w wytwarzaniu energii oraz 27-procentowy wzrost efektywności energetycznej.

Był to zatem dwukrotny wzrost, jeśli chodzi o redukcję emisji – z poziomu 20 procent podwyższono cel redukcyjny do 40 procent. Co za rozmach! Co więcej, w 2018 roku znowelizowano dwie dyrektywy i podniesiono poprzeczkę w innych obszarach. Do 2030 roku Unia miała już pozyskiwać z odnawialnych źródeł energii 32 procent prądu i zużywać o 32,5 procent mniej energii.

Czy ktokolwiek przykładał wtedy wagę do tych pułapów, które brukselscy politycy wyrzucali jak karty z rękawa? Czy nie wydawały się one ludziom zbyt odległe i fantazyjne? Być może.

W każdym razie unijne cele klimatyczne ciągle rosły, a „postępowcy" mieli dwie przesłanki, które utwierdzały ich, że mają rację i wszystko zmierza w dobrym kierunku. Po pierwsze sprzyjająca koniunktura gospodarcza po światowym kryzysie finansowym, a po drugie Porozumienie paryskie, które weszło w życie w listopadzie 2016 roku.

W stolicy Francji światowi przywódcy postanowili, że będą dążyć do ograniczenia średniego wzrostu temperatury globalnej do poziomu znacznie niższego niż 2 stopnie Celsjusza względem epoki przedprzemysłowej, a najlepiej do 1,5 stopnia.

W dokumencie zapisano, że wszystkie kraje powinny dążyć do sformułowania „długoterminowych strategii rozwoju niskoemisyjnego". Dlatego też w grudniu 2019 roku Komisja Europejska, stawiając się w roli prymusa, ogłosiła mapę drogową do osiągnięcia przez Unię neutralności klimatycznej, nieco wcześniej zaś Parlament Europejski przyjął rezolucję, ogłaszając kryzys klimatyczny w Europie i na całym świecie.

Tak powstał znany już wszystkim Europejski Zielony Ład, który ma sprawić, że Europejczycy będą żyli w „nowoczesnej, zasobooszczędnej i konkurencyjnej gospodarce, która w 2050 roku osiągnie zerowy poziom emisji gazów cieplarnianych netto i w ramach której wzrost gospodarczy będzie oddzielony od wykorzystania zasobów naturalnych" – to nie jest żart, to cytat z oficjalnego komunikatu KE.

PRZESUNIĘCIE O ROK WEJŚCIA W ŻYCIE SYSTEMU ETS2 TO LEKCEWAŻENIE GŁOSU TYCH OBYWATELI, KTÓRZY NIE CHCĄ, ABY TRANSFORMACJA KLIMATYCZNA ODBIJAŁA SIĘ NA ICH STOPIE ŻYCIOWEJ.

eprasa.pl de96da4d7d

Zapisano w nim także, że „transformacja ta musi przebiegać zarazem w sprawiedliwy i sprzyjający włączeniu społecznemu sposób: na pierwszym miejscu należy stawiać ludzi i nie wolno tracić z oczu regionów, sektorów przemysłu i pracowników, którzy będą borykać się z największymi trudnościami". Dzisiaj te słowa rozbrzmiewają echem pustej, nic nieznaczącej deklaracji. Papier przecież wszystko przyjmie.

Po upływie dwunastu miesięcy, pod koniec 2020 roku, Rada Europejska zgodziła się na podniesienie celu redukcji emisji gazów cieplarnianych z 40 do 55 procent w perspektywie do 2030 roku. Konkluzje nie są jednak wiążącym dokumentem prawnym, dlatego w lipcu 2021 roku przygotowano pakiet pod nazwą Fit for 55 (Gotowi na 55). W jego skład wchodziło 13 aktów legislacyjnych, które były przyjmowane w kolejnych latach, począwszy od 2023 roku, i dotyczyły najważniejszych sektorów gospodarki.

W ten sposób w ramach Fit for 55 Unia Europejska postanowiła do 2030 roku zredukować o 55 procent emisje gazów cieplarnianych, zmniejszyć zużycie energii o co najmniej 9 procent (w porównaniu do 2020 roku) i zwiększyć udział energii odnawialnej w miksie energetycznym do 40 procent.

Przegłosowano też zakaz sprzedaży nowych aut spalinowych od 2035 roku i dyrektywę budynkową, zgodnie z którą wszystkie nowe budynki od 2030 roku powinny być bezemisyjne (publiczne już od 2028 roku), a istniejące budynki powinny zostać przekształcone w bezemisyjne do 2050 roku.

PAKIET KLIMATYCZNO-ENERGETYCZNY ZOSTAŁ PRZYJĘTY W GRUDNIU 2008 ROKU, BY WYPEŁNIĆ CELE OKREŚLANE MIANEM 3x20.

Częścią Fit for 55 jest także mechanizm dostosowania cen na granicach z uwzględnieniem emisji CO_2, czyli CBAM, zwany potocznie „graniczną opłatą węglową". W skrócie chodzi o to, żeby do towarów importowanych spoza Unii doliczać opłaty za emisję i w ten sposób wyrównać różnice cenowe.

Europejscy producenci muszą płacić za emisję CO_2, kupując certyfikaty ETS, a importerzy towarów spoza Unii muszą kupić certyfikaty CBAM. Ma to chronić europejski rynek, zapewnić uczciwą konkurencję i przy okazji zapobiec „ucieczce emisji".

Zielona owca

Jednym z najważniejszych elementów Fit for 55 jest jednak system ETS2. Obok wspomnianej dyrektywy budynkowej jest to najbardziej zielona owca w tym legislacyjnym stadzie. Dotychczas za emisje gazów cieplarnianych musiały płacić elektrownie, cementownie, huty – ogólnie przemysł energochłonny.

Od 2028 roku dołączy do nich transport drogowy i mieszkalnictwo. Oznacza to wyższe ceny benzyny, ropy, gazu, węgla, oleju opałowego, drewna, a więc wszystkiego, co emituje dwutlenek węgla. To ekonomiczne harakiri miało wejść w życie w 2027 roku, ale kraje członkowskie zdecydowały, że przesuną termin o jeden rok.

Polska wnioskowała co prawda o 3 lata, ale rząd i tak może być zadowolony. Dlaczego? Bo skutki ETS2 Polacy zaczną odczuwać dopiero po wyborach parlamentarnych. Politycznie jest to zatem sukces, choć ekonomicznie niewiele się zmienia. Unia postanowiła też zatwierdzić nowy cel pośredni: emisje do 2040 roku mają zostać zmniejszone o 90 procent.

Generalnie rzecz biorąc, problemem nie jest sama walka ze zmianami klimatycznymi, ale sposób, w jaki czynią to zieloni politycy. Unia nie stara się zachęcić obywateli do ekologii poprzez ekonomiczną opłacalność, ale pod przymusem.

SKUTKI ETS2 POLACY ZACZNĄ ODCZUWAĆ DOPIERO W 2028 ROKU, JUŻ PO WYBORACH PARLAMENTARNYCH.

Bruksela mówi – albo zamontujesz fotowoltaikę i pompę ciepła, albo zlikwidujemy ci piec węglowy i gazowy. Albo przesiądziesz się na elektryka, albo nie kupisz żadnego innego auta. Albo jesteś z nami, albo przeciwko nam.

eprasa.pl de96da4d7d

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Katastrofa na receptę

Zapewne znają Państwo frazę: „Operacja się udała, ale pacjent zmarł”. Pasuje ona jak ulał do obecnej sytuacji w służbie zdrowia, która jest katastrofalna. Choć premier i Ministerstwo Zdrowia robią wszystko, by pudrować rzeczywistość, to coraz mocniej widać postępujący rozkład. Czy to już agonia?

To oczywiście nie tak, że wcześniej wszystko było dobrze. Służba zdrowia w Polsce od dawna choruje, ale dziś jest bliska zapaści. Tak źle jeszcze nie było. W kampanii wyborczej Donald Tusk obiecywał „naprawę państwa” i „koniec kolejek do lekarzy”. Poprzednia minister zdrowia Izabela Leszczyna bajdurzyła o czarodziejskiej różdżce, a Szymon Hołownia zapowiadał, że to lekarze będą dzwonić do pacjentów.

Oczywiście obietnice nie zostały zrealizowane. Zostały z nich jedynie slogany, które brzmią teraz niczym ponury żart. Rząd zamiast reformować, maluje trawę na zielono i żongluje statystykami. NFZ triumfalnie ogłasza wzrost wydatków na zdrowie, ale w rzeczywistości na ogół są to papierowe przesunięcia budżetowe. Nie mówiąc już o tym, że wydatki i tak są mniejsze niż za czasów Zjednoczonej Prawicy.

W efekcie szpitale toną w długach, a dyrektorzy – niczym księgowi – szukają oszczędności lub – jak w Szczecinie – ogłaszają zbiórki na sprzęt. Oficjalnie dziura w służbie zdrowia wynosi ponad 20 miliardów złotych, choć zdaniem ekspertów, deficyt jest o wiele większy. Coraz częściej dochodzi też do sytuacji, w której pacjenci są odsyłani ze szpitali, a ich zabiegi przenoszone na kolejny rok. Powód? Ciągle ten sam – brak pieniędzy.

Problem w tym, że na horyzoncie nie widać jakiegokolwiek planu. Minister zdrowia, której nazwiska nikt nawet nie zna, niemal nie zabiera publicznie głosu, a gdy już to robi, to z rozbrajającą szczerością przyznaje, że jesteśmy blisko krawędzi, ale w przyszłym roku na pewno do niej dotrzemy. Nic, tylko się cieszyć, prawda?

To już nie jest kolejny kryzys w służbie zdrowia, które bywały w przeszłości. To prawdziwa katastrofa. Szpitale są na granicy bankructwa, a minister zdrowia opowiada o „strategicznej wizji”. W gabinetach być może wszystko odpowiada: są tabelki, wykresy, narracja. Jednak w prawdziwym świecie ludzie odsyłani są z kwitkiem. Nie zapłacisz? Nie przeżyjesz.

W Polsce Donalda Tuska zdrowie nie jest prawem, ale przywilejem. Rząd zamiast uznać tę prawdę i zmierzyć się z problemem, udaje, że wciąż ma wszystko pod kontrolą. Jak lekarz, który widząc pacjenta w agonii, poprawia mu tylko poduszkę, żeby lepiej wyglądał w statystykach. Ten katastrofalny stan rzeczy obciąża nie tylko Koalicję Obywatelską, ale również jej koalicjantów. Tak, panie posłanki i panowie posłowie z Polski 2050, PSL-u i Lewicy, tworzycie ten rząd i odpowiadacie za to, co się dzieje. Tylko czy na pewno warto?

eprasa.pl de96da4d7d

Hartowanie polskiego ducha



Wizyta w Hucie Warszawa bp. Zbigniewa Józefa Kraszewskiego, Dzień Hutnika, 4 maja 1981 r. Ks. Jerzy Popiełuszko trzeci od prawej.

Fot. Adam Szymański

Polskie huty to nie tylko dzieje narodowego przemysłu, ale także kawał historii polskiego ducha. Zrządzeniem Opatrzności zakłady pracy i osiedla, które miały być miejscami bez Boga, stały się z czasem **bastionami wiary**.

Agnieszka Żurek

To może ja pójdę – od tych niepozornych słów zaczęła się wielka historia relacji bł. ks. Jerzego Popiełuszki z ludźmi pracy, która miała trwać przez całe jego życie, aż po męczeńską śmierć.

„Myślałem, że ktoś ważny idzie za mną”

„Szedłem z ogromną tremą. Już sama sytuacja była zupełnie nowa. Co zastanę? Jak mnie przyjmą? Czy będzie gdzie odprawiać?” – tak wspominał drogę na swoją pierwszą Mszę Świętą dla hutników. Trafił tam trochę „przypadkiem”, w odpowiedzi na prośbę delegatów robotników ze strajkującej Huty Warszawa, którzy zapragnęli obecności kapłana

eprasa.pl de96da4d7d

mogącego pobłogosławić ich zmagania o wolność. Początkowo miał się tam wybrać inny ksiądz z żoliborskiej parafii św. Stanisława Kostki. Kiedy jednak okazało się, że jest zajęty innymi obowiązkami, do hutników udał się ks. Jerzy.

„I wtedy przy bramie przeżyłem pierwsze wielkie zdumienie. Gęsty szpaler ludzi – uśmiechniętych i spłakanych jednocześnie. I oklaski. Myślałem, że ktoś ważny idzie za mną. Ale to były oklaski na powitanie pierwszego w historii tego zakładu księdza przekraczającego jego bramę. Oklaski dla Kościoła, który przez trzydzieści parę lat wytrwale pukał do fabrycznych bram…" – wspominał później ks. Jerzy w rozmowie z ks. Antonim Ponińskim („Ład Boży" 1983, nr 9).

O odprawionej na terenie zakładu pierwszej Mszy Świętej powiedział: „Trzeba było słyszeć te męskie głosy, które niejednokrotnie przemawiały niewyszukanymi słówkami, a teraz z namaszczeniem czytały święte teksty. A potem z tysięcy ust wyrwało się jak grzmot: «Bogu niech będą dzięki». Okazało się, że potrafią też śpiewać, o wiele lepiej niż w świątyniach. Przedtem była jeszcze spowiedź. Siedziałem na krześle, plecami niemal opierając się o jakieś żelastwa, a te twarde chłopy w usmarowanych kombinezonach klękali na asfalcie zrudziałym od smaru i rdzy".

„Przeżywałem te same niepokoje razem z hutnikami. Widziałem, spowiadałem ludzi, którzy zmęczeni do granic wytrzymałości, klęczeli na bruku i tam chyba ci ludzie zrozumieli, że są silni, że są mocni właśnie w jedności z Bogiem, z Kościołem. I wtedy zrodziła się potrzeba pozostania z nimi" – opowiadał ks. Jerzy w wywiadzie udzielonym brytyjskiemu dziennikarzowi.

Warszawska Stocznia

Huta w sierpniu 1980 roku stała się trochę „warszawską Stocznią". Był to bowiem pierwszy stołeczny zakład pracy, który ogłosił strajk solidarnościowy popierający postulaty Wybrzeża. Duchowe wsparcie ks. Jerzego było dla robotników w tym gorącym okresie nieocenione. „Zawsze można było z nim pogadać i liczyć na jego pomoc, nie przekreślał nikogo za poglądy. Gromadził wokół siebie mnóstwo ludzi. Był «równym» kapłanem" – wspominali go hutnicy w rozmowie z PAP. W Hucie działy się małe i większe cuda. Jeden z robotników, który do 1980 roku był np. członkiem PZPR, pod wpływem nauczania księdza Jerzego wystąpił z partii. Wielu spowiadało się po raz pierwszy od długiego czasu, porzucało nałogi, wracało na drogę wiary…

> ***Szedłem z ogromną tremą. Już sama sytuacja była zupełnie nowa. Co zastanę? Jak mnie przyjmą? Czy będzie gdzie odprawiać?***
>
> **bł. ks. JERZY POPIEŁUSZKO o swojej pierwszej Mszy dla hutników**

Podobnych cudów duchowych dokonywał Pan Bóg w ludzkich sercach w podkrakowskiej Nowej Hucie – osiedlu zbudowanym tuż po wojnie dla pracowników ówczesnej Huty im. Lenina. Z bastionu ateizmu to miejsce stało się Arką Pana. Świątynię pod tą nazwą konsekrował 15 maja 1977 roku metropolita krakowski ks. kard. Karol Wojtyła, późniejszy papież Jan Paweł II. Ale już długo wcześniej obecności Boga i budowy świątyni w tym miejscu domagali się mieszkańcy Nowej Huty, stawiając na tym terenie krzyż i broniąc go przed usunięciem przez komunistyczne władze.

„Chcemy żyć dla Boga"

– I dlatego też budowa kościoła w Nowej Hucie Bieńczycach stała się wydarzeniem historycznym. Słusznie uczestniczą dzisiaj w niej [konsekracji świątyni – Arki Pana – przyp. aut.] przedstawiciele Kościoła, społeczeństwa, innych kościołów, społeczeństw, ponieważ ten historyczny fakt, który się tutaj dokonał, na to zasługuje. A dokonał tego dzieła Jezus Chrystus, który od całych stuleci i pokoleń stawał przy każdym z nas i uświadamiał nam, że nie jesteśmy sami bez Boga i nie możemy żyć bez Boga. I chcemy żyć dla Boga! I dlatego nieodzowna jest świątynia – mówił podczas konsekracji Arki Pana ks. kard. Karol Wojtyła.

Hutnicy, którzy w założeniu mieli stać się „nowymi ludźmi" ukształtowanymi przez system komunistyczny na modłę sowiecką, bez Boga i moralności, stali się z czasem ludźmi Kościoła. Nie było to jednak proste. Ateizacja, demoralizacja i planowe rozpijanie społeczeństwa odcisnęły piętno na robotnikach. Kapłani jednak o nich walczyli.

– To miasto nie jest miastem ludzi nie należących do nikogo. Ludzi, z którymi można robić, co się chce, którymi można manipulować wedle praw czy reguł produkcji i konsumpcji. To miasto jest miastem synów Bożych – mówił o mieszkańcach Nowej Huty ks. Karol Wojtyła.

Posługa księży, sakramenty i zmagania robotników z własnymi słabościami przyniosły piękne owoce, a polskie huty stały się dowodem na to, że Bóg potrafi zwyciężać tam, skąd za wszelką cenę chce się Go wypędzić.

eprasa.pl de96da4d7d

Wieczny cień RADIOKOMITETU

Temat mediów publicznych dla bardzo wielu odbiorców wydaje się dziś całkowicie nieistotny. O TVP słyszymy wyłącznie przy okazji kolejnych propagandowych wyczynów jej najbardziej znanych dziennikarzy i kolejnych starć Doroty Wysockiej-Schnepf z Krzysztofem Stanowskim i politykami opozycji. O radiu jest dużo ciszej, o Polskiej Agencji Prasowej nie mówi się i nie pisze zbyt wiele, póki nie przydarzy się jej kolejna wpadka lub jawna manipulacja. Niedawny panel poświęcony tej tematyce podczas konwencji PiS stał się dość głośnym wydarzeniem, głównie jednak za sprawą doboru gości. Temat jednak żyje. Właśnie pojawia się ministerialna propozycja **nowej ustawy medialnej**.

Krzysztof Karnkowski

Choć przed 2015 rokiem grupa dziennikarzy bliskich Prawu i Sprawiedliwości pod cichym patronatem SDP zaczęła pracę nad przyszłą ustawą medialną, akt ten nie miał nigdy szczęścia. Zamiast tzw. dużej ustawy medialnej po wyborach parlamentarnych wygranych przez PiS 10 lat temu uchwalano jedynie kolejne przepisy pozwalające na doraźne regulacje, takie jak zmiana władz mediów publicznych, powołanie Rady Mediów Narodowych i osłabienie KRRiT czy ostatecznie zablokowane głośne „Lex TVN". O rozwiązaniach systemowych, w tym zmianie sposobu ściągania abonamentu, mówiło się przez lata bardzo dużo, jednak na mówieniu z reguły się kończyło. Platforma Obywatelska poza krytyką ograniczyła się właściwie do zbierania podpisów pod projektem likwidacji TVP Info. I tak aż do grudnia 2023 roku, gdy kolejna ekipa w żadne zmiany prawa nawet się nie bawiła i zdecydowała się na siłowe przejęcie mediów publicznych, do dziś wspominane jako dramatyczne wydarzenie przez wielu ówczesnych pracowników TVP.

Pełna kontrola

W czasach PRL wszystko było dość proste. W 1951 roku dekretem utworzono przy Radzie Ministrów Komitet do Spraw Radiofonii „Polskie Radio". 9 lat później, już ustawą, urząd ten stał się Komitetem do Spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja". Do zadań tego centralnego organu należały tak kluczowe kompetencje, jak budowa ośrodków nadawczych, tworzenie programów radiowych i telewizyjnych czy wspieranie twórczości artystycznej, wreszcie ustalanie liczby produkowanych odbiorników radiowych i telewizyjnych. Koncesje nie były potrzebne, ponieważ nie



Rys. A.Chu / Adobe Stock

eprasa.pl de96da4d7d

istniał rynek nadawców. Szefowie tej instytucji niemal do jej końca byli kluczowymi postaciami w państwie zarówno komunistycznym, jak i postkomunistycznym, pełniąc równocześnie funkcję szefów Telewizji Polskiej. W tym gronie znalazły się takie postacie jak Włodzimierz Sokorski, rządzący nią w latach 50. i 60., legenda czasów Gierka Maciej Szczepański, a później m.in. Jerzy Urban, Andrzej Drawicz czy, z drugiej strony, Zbigniew Romaszewski. Radiokomitet przestał istnieć dopiero w 1993 roku, gdy ustawa uchwalona w grudniu 1992 roku powołała Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Dopiero to ciało zyskało wpływ na tworzący się rynek, mogąc przyznawać koncesje i karać nadawców za rozmaite naruszenia zasad i obyczajów. Działalność Rady od początku budziła kontrowersje, wystarczy przypomnieć, że jej pierwszy przewodniczący został odwołany (z naruszeniem prawa) z funkcji po tym, jak zdecydował o przyznaniu koncesji telewizji Polsat, z którą przez kolejne lata był związany jako prowadzący, a później dyrektor pionu informacji.



ZAMIAST TZW. DUŻEJ USTAWY MEDIALNEJ PO WYBORACH PARLAMENTARNYCH WYGRANYCH PRZEZ PiS 10 LAT TEMU UCHWALANO JEDYNIE KOLEJNE PRZEPISY POZWALAJĄCE NA DORAŹNE REGULACJE.

Wielka czystka

W III RP wypracowano model zmian w stacjach radiowych i telewizyjnych. Rewolucjom na górze towarzyszyły na ogół mniej gwałtowne zmiany na niższych szczeblach. Choć dość znany jest przypadek szybkiego wycięcia z telewizji tzw. pampersów – młodych prawicowych dziennikarzy przez ekipę ludowca Ryszarda Miazka, standardem było raczej stopniowe usuwanie audycji, przenoszenie ich na gorsze godziny, wycofywanie dziennikarzy do kanałów regionalnych, a pracowników na bardziej oddalone od anteny stanowiska. Gdy w 2015 roku PiS, dzięki tzw. małej ustawie medialnej, zyskało wpływ na obsadę kluczowych stanowisk w mediach publicznych, odejścia znanych dziennikarzy były bardzo rozłożone w czasie. W radiu wielu z nich przetrwało całe lata, niekiedy nawet całe dwie kadencje, co zresztą pozwoliło później dokonać płynnego przejęcia emisji przez ekipę PO. Jednak nawet w ostatnich tygodniach przed zmianą wielu z dziennikarzy i wydawców spodziewało się raczej przeniesienia do regionów lub archiwów, a nie bezwzględnego wyłączenia identyfikatorów. Z kolei dla pionu technicznego zmiana początkowo jawiła się jako jedna z wielu, choć później zaskoczyła ich najpierw jej brutalność, a potem złe traktowanie tych, którzy jako niezbędni ludzie zaplecza w stacji pozostali.

Dobra zmiana

Osiem lat rządów PiS w mediach publicznych na ogół oceniane jest bardzo krytycznie. TVP stała się dla wielu symbolem bezprzykładnej propagandy, choć przecież również wcześniej, choćby w kampaniach wyborczych 2015 roku, trudno było ją uznać za obiektywną. Ocieplanie wizerunku rządzących w „Wiadomościach” czy „Gościu Wiadomości”, a także emocjonalne i niewątpliwie narzucające interpretację zdarzeń paski były bezwzględnie nagłaśniane i krytykowane przez media w wielu sprawach nie odbiegające poziomem zaangażowania od TVP, jednak wyjęte spod krytyki jako prywatne. Niewątpliwie jednak informacyjne kanały zarówno TVP, jak i Polskiego Radia traktowane były zbyt często jako prywatny radiowęzeł polityków służący do transmitowania nawet najbardziej błahych wystąpień, zwłaszcza w kampaniach wyborczych. Atmosfera, która narosła wokół TVP, sprawiła, że mało kto był skłonny jej bronić i znajduje

eprasa.pl de96da4d7d

to odbicie również w dzisiejszych dyskusjach. Podczas kongresu programowego PiS na temat mediów publicznych dyskutowali między innymi Jacek Kurski (były szef TVP), Dorota Kania (była naczelna Polska Press) i posłanka Joanna Lichocka. Ten zestaw nazwisk krytykowany był nawet po prawej stronie, co sprawiło, że zniknęły gdzieś dość istotne myśli sformułowane podczas dyskusji, takie jak rola mediów publicznych jako infrastruktury krytycznej, wskazanie na zagrożenia ze strony nowej ustawy rzekomo dotyczącej bezpieczeństwa w sieci, a de facto pozwalającej kontrolować cały przekaz medialny urzędnikom, czy istotne propozycje w rodzaju stworzenia holdingu medialnego (Kania) czy zachowania istotnej roli tożsamościowych i niezależnych mediów prywatnych nawet w przypadku powrotu prawicy do władzy (Jolanta Hajdasz z SDP). Emocje przede wszystkim wzbudził udział Kurskiego, dla wielu będącego symbolem wszystkiego, co najgorsze w kreowaniu telewizyjnego przekazu. Publicysta „Gazety Polskiej” Maciej Kożuszek uważa, że głównym motywem panelowych prezentacji była tęsknota za dawnymi czasami i pewnymi miejscami pracy, tymczasem TVP okazała się zepsutą maszyną, która sama zaszkodziła również tym, którzy próbowali ją naprawić. – Człowiek też jest przekazem – a oni są przekazem przeszłości – podsumowuje tezy dyskutantów Kożuszek.

To, czego nie widać

Trzeba jednak zauważyć, że telewizja to nie tylko to, co widać. Niezależnie od oceny zawartości programowej czy przekazu informacyjnego i publicystycznego należy odnotować, że to za czasów Jacka Kurskiego (i kontynuującego ten proces Mateusza Matyszkowicza) TVP dokonała wielkiego skoku technologicznego, z wczesnych lat dwutysięcznych przenosząc się do nowoczesnych studiów i reżyserek pracujących na najnowocześniejszym sprzęcie. Po przejęciu Telewizji Polskiej przez ludzi związanych z obecną koalicją rządzącą nasycenie propagandą zostało takie same, a w przypadku przynajmniej niektórych z gwiazd „czystej wody” (określenie to TVP zawdzięcza manifestowi Marka Czyża z pierwszego wydania audycji „19.30”, która zastąpiła „Wiadomości”) zdecydowanie je przewyższa. Równocześnie można odnieść wrażenie, że skok technologiczny został zmarnowany. Stało się tak dlatego, że decyzje w obecnej TVP podejmują ludzie, którzy w dużej części po 2015 roku wylądowali na marginesie mediów, w niszowych stacjach czy własnych, nierobiących na ogół furory kanałach na YouTubie.

NAWET W OSTATNICH TYGODNIACH PRZED ZMIANĄ WIELU Z DZIENNIKARZY I WYDAWCÓW SPODZIEWAŁO SIĘ RACZEJ PRZENIESIENIA DO REGIONÓW LUB ARCHIWÓW, A NIE BEZWZGLĘDNEGO WYŁĄCZENIA IDENTYFIKATORÓW.

POD POZOREM DEMOKRATYZACJI MOŻNA OBAWIAĆ SIĘ DALSZEGO IDEOLOGICZNEGO SKRĘTU I UPOLITYCZNIENIA MEDIÓW.

Tak jak Donald Tusk wrócił według wielu głosów do polityki z roku 2014, tak dziennikarze i wydawcy – do Telewizji Polskiej A.D. 2025 i to bardzo było widać zwłaszcza w pierwszych miesiącach emisji sygnałów przejętej stacji. W międzyczasie trwały przepychanki dotyczące legalności działań rządu i władz TVP, a ta zasysała kolejne, wyższe niż za poprzedników, dotacje. Tym razem jednak wydatkowania tych pieniędzy raczej nie widać, nie licząc ekstrawanckich zakupów dla kierownictwa czy, jak niedawno, ekskluzywnej imprezy halloweenowej.

Niepotrzebna czy strategiczna?

A jednak wciąż dyskutuje się o potrzebie zmian mediów publicznych. Podczas pisowskiego panelu zderzyły się ze sobą koncepcje powołania wielkiego holdingu z pomysłem, by wykorzystać raczej obecną sytuację, w której rynek sam dokonał dywersyfikacji, a miejsce dużego państwowego molocha w odbiorni-

eprasa.pl de96da4d7d

kach i sercach widzów zajęło kilka podmiotów prywatnych. W nich zaś z kolei, z Kanałem Zero włącznie, swoje miejsce znaleźli liczni pracownicy TVP z czasów „dobrej zmiany" i to właściwie każdego szczebla, od dawnych dyrektorów, przez prezenterów, aż do wydawców. Powołanie holdingu niesie za sobą ryzyko stworzenia nowego molocha, który znów, po kolejnych wyborach, służyć będzie kolejnej władzy do celów czysto propagandowych. Cały czas funkcjonują też koncepcje częściowej likwidacji i częściowej prywatyzacji, zgłaszano je nawet podczas innego spotkania na tym samym kongresie Prawa i Sprawiedliwości. Również kwestię znaczenia strategicznego według niektórych komentatorów można rozwiązać inaczej. – Nie są żadną infrastrukturą krytyczną. Do przekazania komunikatu „pali się fabryka" nie jest potrzebny Jacek Kurski – mówi Maciej Kożuszek. Wojciech Mucha dodaje, że nie trzeba budować koncernu – wystarczą przepisy nakazujące prywatnym stacjom emitowanie komunikatów w czasie kryzysu. Z takim postawieniem sprawy nie zgadza się Krzysztof Jabłoński, były pracownik TVP Info, odpowiedzialny między innymi za montaż serialu „Reset". Według Jabłońskiego media publiczne zaliczają się do tych elementów infrastruktury, które powinny, jak choćby drogi czy armia, pozostać pod kontrolą państwa. Z kolei Mucha uważa, że problemem są przede wszystkim kanały informacyjne przez każdą władzę wykorzystywane jako narzędzie propagandy.

Bez znaczenia

Niewiele uwagi poświęcam w tym artykule nowej rządowej propozycji przedstawionej przez minister kultury Martę Cienkowską. Poza likwidacją Rady Mediów Narodowych i powrotem do szerokich kompetencji KRRiT ustawa skupia się na zaklęciach w postaci apolityczności, którą gwarantować ma większy udział tzw. strony społecznej, twórców i stowarzyszeń, w procesie decyzyjnym. Problem leży jednak w tym, że przecież i te podmioty mają swoje poglądy i interesy, zapewne zbieżne z interesami władzy, przez władzę będą też koncesjonowane do udziału w decyzjach. Pod pozorem demokratyzacji można więc obawiać się dalszego ideologicznego skrętu i upolitycznienia mediów. Ustawa nie kończy stanu likwidacji. Wbrew deklaracjom Cienkowskiej trudno też spodziewać się, że ustawę tę podpisze prezydent Karol Nawrocki.

> TVP DOKONAŁA WIELKIEGO SKOKU TECHNOLOGICZNEGO, Z WCZESNYCH LAT DWUTYSIĘCZNYCH PRZENOSZĄC SIĘ DO NOWOCZESNYCH STUDIÓW I REŻYSEREK.

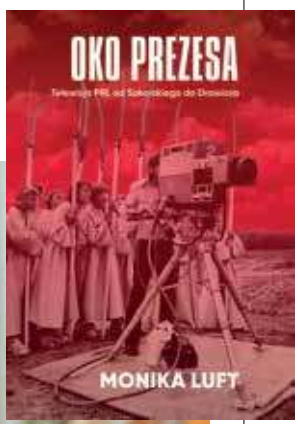
> KANAŁY TVP I POLSKIEGO RADIA TRAKTOWANE BYŁY ZBYT CZĘSTO JAKO PRYWATNY RADIOWĘZEŁ POLITYKÓW SŁUŻĄCY DO TRANSMITOWANIA NAWET NAJBARDZIEJ BŁAHYCH WYSTĄPIEŃ.

Jak powinny wyglądać media publiczne? Przede wszystkim w przypadku zmiany władzy nie wolno prawicy powtórzyć błędu z 2015 roku i wydrenować z kadr niezależnych inicjatyw medialnych. Zapewne będzie to już niemożliwe, bo dziś są to dużo silniejsi niż 10 lat temu gracze. Trzeba więc będzie szukać gdzie indziej, nie wpadając w pułapkę, w którą wpadła ekipa Tomasza Syguta, rekrutując ludzi, którzy stracili dekadę obecności w branży. Przekaz tożsamościowy pozostawić mediom tożsamościowym, a mediom publicznym pozwolić zająć się misją i odbudowywaniem osłabionej wspólnoty duchowej, narodowej i kulturowej. Trudno wyobrazić sobie rezygnację z komponentu informacyjnego, nie może być on jednak kolejny raz tym samym codziennym „wbijaniem miliona gwoździ w milion desek", jak rolę TV sformułował przed laty Maciej Szczepański i z czym zdawali się zgadzać kolejni szefowie kolejnych wcieleń Radiokomitetu. Rzetelna informacja będzie dużo straszniejszą bronią pozbawioną ośmieszającego ją nieraz zbyt zaangażowanego komentarza.

eprasa.pl de96da4d7d

Prezesowski pasjans

– Dzisiaj powinniśmy sobie życzyć, aby obecna telewizja służyła odbiorcom, a nie wyłącznie władzy, partiom politycznym i zarabiającym w niej ludziom. Niestety wciąż na nowo powielamy wzorzec telewizji partyjnej czy też rządowej – mówi **Monika Luft**, autorka książki „Oko prezesa. Telewizja PRL od Sokorskiego do Drawicza”, w rozmowie z **Marcinem Darmasem**.





Fot. Tomasz Ozdoba

– Zacznę przekornie od parafrazy pytania Roberta Oppenheimera: „Po co tak przejmować się przyszłością skazanego świata?”. Na takiej samej zasadzie chciałem zapytać, dlaczego pisze Pani o telewizji, skoro to medium stopniowo umiera, odchodzi do lamusa? Jego miejsce zajmują internet: platformy społecznościowe, kanały wideo.

– Ależ ja stawiam podobne pytanie w książce: czy telewizja jest już przegrana i zbędna? Według nieco prowokacyjnych wyliczeń, które przytaczam w „Oku prezesa”, telewizja publiczna potrzebna jest zaledwie 250 tysiącom osób: jej pracownikom, politykom, związanym z nią twórcom. Reszta społeczeństwa radzi sobie bez tego medium bardzo dobrze. Mimo to wydaje mi się, że telewizja publiczna nadal może być dla naszej wspólnoty czymś bardzo istotnym. Przy tej skali dezinformacji, przy panującej w internecie wolnej amerykance i przy niezliczonej ilości fake newsów, na jakie jesteśmy jako kraj frontowy stale narażeni, powinniśmy móc liczyć na media spełniające wysokie standardy dziennikarskie i etyczne. Powinno nas być stać na media, którym można stuprocentowo zaufać.

– Przecież nigdy tak nie było i obawiam się, że nigdy tak nie będzie.

– To jednak nie znaczy, że musimy się godzić na niski poziom mediów publicznych. Jesteśmy dużym krajem i ambitnym społeczeństwem. Media publiczne najwyższej jakości nam się po prostu należą.

– Dlaczego zatem takich nie mamy?

– Winne są według mnie między innymi wzorce medialne odziedziczone po PRL. Dostaliśmy w spadku

eprasa.pl de96da4d7d

po tamtym ustroju fatalne, schematyczne myślenie o roli i kształcie mediów. Postanowiłam to opisać ku pamięci i ku przestrodze zarazem.

– Obraz, który wyłania się ze stron „Oka prezesa", nie jest jednak czarno-biały.

– To prawda. Przed rokiem 1989 powstawały czasem świetne programy, filmy czy seriale. Ze względu na własną biografię z nostalgią wspominam choćby „Noce i dnie".

– Rozmawiam nie tylko z badaczką telewizji, ale i z serialową Emilką Niechcic.

– Tak. Przyznaję, że telewizja PRL nie była jednoznacznie zła. Ale nie była też jednoznacznie dobra. Była taka, jak jej czasy. Dzisiaj powinniśmy sobie życzyć, aby ta obecna była lepsza od czasów, w których żyjemy. Aby służyła odbiorcom, a nie wyłącznie władzy, partiom politycznym i zarabiającym w niej ludziom. Niestety wciąż na nowo powielamy wzorzec telewizji partyjnej czy też rządowej.

– We wstępie do książki przypomina Pani hiszpański film „El televisor" mówiący o uzależnieniu od małego ekranu. Od lat siedemdziesiątych zachodni intelektualiści, z Pierre'em Bourdieu na czele, przestrzegają przed negatywnym wpływem telewizji. Komuniści natomiast chcieli za wszelką cenę usadowić obywateli przed szklanym ekranem. Dlaczego?

– Chodziło o pełną kontrolę nad socjalistycznym obywatelem. Historycy różnie opisują PRL. Jedni utrzymują, że był to system totalitarny, drudzy, wzbraniając się przed tak daleko idącymi wnioskami, nazywają go systemem autorytarnym. Jeszcze inni twierdzą, że mieliśmy do czynienia z systemem totalitarnym, który ewoluował w stronę autorytarnego. Co do jednego są zgodni: od samego początku komuniści starali się kontrolować wszelkie dziedziny życia publicznego i prywatnego. Ten element był absolutnie kluczowy dla systemu. Cenzura, Służba Bezpieczeństwa – wszystko to służyło kontroli. A dzięki telewizji można było wpływać na codzienne zachowania i poglądy. Stąd konieczność posadzenia ludzi przed telewizorami. Jednak by wtłaczać im do głów propagandę, nie wystarczał kij, należało zapewnić także marchewkę. I uczciwie powiedzmy, że ta marchewka bywała zupełnie smaczna.

– Ówczesna rozrywka, jak na tamte czasy, stała na całkiem wysokim poziomie intelektualnym i artystycznym. To wówczas powstały Kabaret Starszych Panów, Teatr Telewizji, wybitne często seriale. I było to masowo oglądane.

– „Niewinne" z pozoru produkcje również miały zaszytą propagandową truciznę. Weźmy na przykład takie seriale jak „Czterej pancerni i pies" albo „Stawka większa niż życie". Z punktu widzenia historycznego były to opowieści całkowicie zakłamane. A jednak wymknęły się spod ideologicznej kontroli. Ich propagandowa funkcja zeszła na dalszy plan, a na czoło wysunęły się walory rozrywkowe. Dziś postrzegamy je jako zjawiska popkulturowe. Nawet teraz mają swoich wiernych wielbicieli.

– Wybrała Pani bardzo ciekawy sposób opowiadania o telewizji. Niczym Waldemar Łysiak ułożyła Pani taki telewizyjny pasjans, gdzie zamiast marszałków Napoleona wychodzą z talii kolejni prezesi Radiokomitetu, zaczynając od Włodzimierza Sokorskiego, na Andrzeju Drawiczu kończąc. Nie jest Pani dla nich zbyt łaskawa. O Sokorskim czytamy: „Człowiek o giętkim kręgosłupie, dobry na każdą epokę". Co ich łączyło?

– To były różne osobowości, ale kilku panów z tego dziesięcioosobowego grona łączył z pewnością cynizm. Cynikami byli Włodzimierz Sokorski, Maciej Szczepański, Mirosław Wojciechowski, Jerzy Urban. Ci, którzy przetrwali dłużej na swoich stołkach, odznaczali się bez wątpienia silnymi charakterami. Nie było łatwo trzymać w ryzach takiego molocha jak telewizja. Presja była ogromna. Z jednej strony Komitet Centralny PZPR, z drugiej luminarze ówczesnego świata kulturalnego i intelektualnego. Świat artystyczny był zresztą żywo zainteresowany tym, aby pozostawać w dobrych relacjach z szefami telewizji. Niedościgniony w rozdawaniu faworów, nagród i pieniędzy był Szczepański. Ostatnim komunistycznym prezesem Radiokomitetu był Urban. Ten oprócz cynizmu i arogancji miał w sobie coś jeszcze – diaboliczność.

POWINNIŚMY MÓC LICZYĆ NA MEDIA SPEŁNIAJĄCE WYSOKIE STANDARDY DZIENNIKARSKIE I ETYCZNE. POWINNO NAS BYĆ STAĆ NA MEDIA, KTÓRYM MOŻNA STUPROCENTOWO ZAUFAĆ.

eprasa.pl de96da4d7d

– Czytam w „Oku prezesa" wypowiedź Józefa Tejchmy: „Na to stanowisko trzeba człowieka zdrowego i głupiego, może być inteligentny cynik, może być głupi cynik, takich jest najwięcej. Może być głupi i chory, wysokie stanowisko mu nie zaszkodzi. Mądry a zdrowy szybko się zniszczy, mądry a chory niezwłocznie wykituje".

– Stanowisko prezesa Radiokomitetu wymagało giętkiego kręgosłupa. Świetnie odnajdywał się w tym Sokorski, który zawsze stawał po stronie silniejszego. Wiedział, kiedy nadchodzi pora, by zmienić front. Podczas walk frakcyjnych w partii, przyczajony, czekał na rozstrzygnięcia. I kiedy już wiadomo było, kto zdobywa przewagę, okazywał się stronnikiem właśnie tych, którzy byli górą. Miał „dar", jeśli można tak to nazwać, wyczuwania zmian i dostosowania się do nich. Jestem dziwnie spokojna, że we współczesnym świecie też by sobie doskonale poradził. Zresztą w wolnej Polsce, w wywiadzie rzece „Wyznania zdrajcy", bez mrugnięcia okiem oświadczył, że przeszedł na drugi brzeg i cieszy się z upadku komunizmu oraz potępia cały swój dotychczasowy etos.

– Odnoszę wrażenie, że „Oko prezesa" utkane jest z ambiwalencji. Z jednej strony konstatuje Pani tępą propagandę ówczesnej telewizji, z drugiej – dostrzega kulturę wysoką, porządne spektakle i kabarety. Jakich ustępstw etycznych musieli dokonywać twórcy, aby znaleźć się w telewizji?

– Cóż, musieli być ślepi na jedno oko i głusi na jedno ucho... Było im na pewno łatwiej, gdy nie zauważali, że są częścią systemu propagandy. Ze wspomnień czy dzienników wyłania się powszechne wśród twórców, aktorów, reżyserów, scenarzystów czy pisarzy nastawienie: my przecież nie zajmujemy się informacją, publicystyką, nie przykładamy ręki do niewolenia umysłów. To robią „oni", a nas to nie dotyczy. My występujemy w innych pasmach. Prawda jest jednak taka, że jedno i drugie było ze sobą ściśle powiązane. Choć naturalnie artyści i autorzy uważali, że mrugają okiem do publiczności, że przynoszą kulturę wyrafinowaną, utkaną z podprogowych znaczeń. I często rzeczywiście tak właśnie było. Oczywiście PRL przechodziła przez różne fazy i postawy też się zmieniały. W latach osiemdziesiątych, po wprowadzeniu stanu wojennego, prawie całe środowisko aktorów i reżyserów powiedziało reżimowi „nie". Wymagało to dużej odwagi. Bojkot telewizji, przestrzegany solidarnie przez ogromną większość środowiska, był ewenementem na skalę światową. I wielkim problemem dla rządzących.

– W epilogu mowa o czasach współczesnych, o obecnej telewizji publicznej w likwidacji. Pani ocena jest bardzo ostra. Czytam: „Jerzy Urban ma prawo śmiać się zza grobu. Jego dziedzictwo okazało się, jak na razie, najtrwalsze". Czy dla Pani Urban jest odpowiednim łącznikiem między komunistyczną telewizją a tą obecną?

– Zastanówmy się. Czy Urban po przełomie ustrojowym został wykluczony z debaty publicznej? Nie. Czy otoczono go kordonem sanitarnym? Nie. Czy był środowiskowym banitą? Nie. Przeciwnie. Dorobił się ogromnych pieniędzy. Był obecny w mediach do końca swoich dni. Ba! Jego wpływ jest nadal odczuwalny. A jego pogrzeb zgromadził elitę III RP. Cały niemal establishment oddał mu hołd. Dla mnie było to szokujące. I podtrzymuję moją opinię, że telewizja publiczna w likwidacji jest swoistym triumfem Urbana zza grobu.

– Dlaczego?

– Urban uosabiał myślenie o telewizji jako o łupie politycznym. Był też symbolem nie tylko kłamstwa, ale i buty rządzących. Jak mówił Zbigniew Herbert Jackowi Trznadlowi w „Hańbie domowej" w latach osiemdziesiątych: „Propaganda dzisiaj nie chce nikogo przekonać. Wlewa w nas gwałtem poczucie bezsilności". Widzę niestety analogię z obecnymi czasami. Czy bezwstydna propaganda, którą jesteśmy karmieni w różnego rodzaju programach, do czegokolwiek nas przekonuje? Nie. Ale wlewa w nas poczucie bezsilności. Oni wydają się mówić: robimy to, co robimy, bo możemy. Bo nie tylko nikt nie poniesie za to odpowiedzialności, ale wręcz zostanie sowicie wynagrodzony. I to jest właśnie to urbanowe dziedzictwo: manifestacja siły oraz przemoc psychiczna.

TELEWIZJA PUBLICZNA W LIKWIDACJI JEST SWOISTYM TRIUMFEM JERZEGO URBANA ZZA GROBU.

Monika Luft – była dziennikarka i prezenterka TVP1. Współpracowała z hiszpańską telewizją TVE. Pełniła funkcję rzeczniczki prasowej MSZ. Autorka m.in. „Arabskiej awantury" oraz „Pejzażu z przemytnikiem".

eprasa.pl de96da4d7d

KARUZELA BLOGERAMI

@FIAT MONEY

JAK 500 PLUS ZMIENIŁO DEBATĘ W POLSCE

Każdy Polak „wie", bo słyszał to milion razy w telewizorze, że 500 plus powoduje inflację, bezrobocie i inne koszmary. Jak większość mądrości wyprodukowanych w liberalnej bance, są to bajki.

Gdy PiS zaproponowało 500 plus, liberalni obserwatorzy próbowali znaleźć dziurę w całym: najłatwiej powiedzieć, że nie ma pieniędzy! Niestety to zostało ośmieszone już w następnym roku, pieniądze były. Pamiętamy, że Polska jest emitentem PLN i zawsze może zwiększyć swoje wydatki (nie zawsze jest to jednak wskazane).

Następnym problemem 500 plus miało być to, że zwiększy deficyt państwa. Wyliczenia czyniono, jakby deficyt miał się zwiększyć o cały wydatek 500 plus. Ten argument nie ma sensu na paru poziomach: samo straszenie deficytem emitenta pieniądza powinno wywoływać uśmieszek politowania: to tak jakby się martwić, że bankier w grze „Monopoly" ma deficyt, co po prostu oznacza, że gracze mają nadwyżkę. Emitent pieniądza może mieć deficyt 1000 lat z rzędu i dalej jego możliwości wydatkowe są niezmienione. Po drugie, gospodarka jest obiektem niemalże zamkniętym: jak państwo wpycha do niej pieniądze, to powoduje wzrost aktywności gospodarczej, a więc także wzrost wpływów podatkowych: podatki dochodowe działają jak termostat: jak gospodarka się rozgrzewa, to one ją automatycznie nieco schładzają, odprowadzając pieniądz poza sektor prywatny, do kasy państwa. Tak więc deficyt nigdy nie jest tak duży jak zastrzyk dany gospodarce. Tak więc zamiast przepowiedzianych przez ówczesnego głównego ekonomistę PO „100 mld" deficytu, w roku 2018... deficyt spadł do 10 mld.

Następnym grzechem 500 plus miało być zmniejszenie zatrudnienia. To kolejny mit oparty na statycznym modelu gospodarki: jak ludzie mają więcej pieniędzy, to nie chce im się pracować! Tymczasem ograniczeniem ilości miejsc pracy w Polsce, w której co szósta osoba kupowała na zeszyt, nie było lenistwo, ale brak miejsc pracy. Skąd on się brał? Ano firmy miały za mało klientów. Dlaczego? Bo Polacy mieli za mało pieniędzy do wydania. 500 plus zmieniło to równanie radykalnie. Czytelniku, pewnie potrafisz zgadnąć, co stało się z zatrudnieniem? Otóż oczywiście: wzrosło ono do rekordowych rozmiarów. I proces ten nie ma nic wspólnego z demografią, która jest ulubioną wymówką liberałów: wzrósł odsetek osób w wieku produkcyjnym, które mają pracę. Podobnie zresztą sprawa ma się z podwyżkami płacy minimalnej: Balcerowicz grzmiał, że to pozbawi młodych szans na rynku pracy. Nie muszę chyba pisać, co mówią na ten temat twarde dane o zatrudnieniu osób w wieku 15–25 lat...

Jaką kolejną wadę 500 plus może wymyślić liberał? Oczywiście: inflacja! To znów wymaga statycznego modelu gospodarki: gdy na rynku przybywa pieniędzy, to przedsiębiorcy wyczuwają to nosem i podnoszą ceny! Każdy, kto pracował w sektorze prywatnym, wie, że to tak nie działa: każda firma się modli o więcej klientów i chętnie poszerzy sprzedaż i produkcję. Gdy gospodarka ma jakiekolwiek wolne moce, jej odpowiedzią na większy popyt jest wzrost podaży, a nie cen. Tak więc inflacja w Polsce podążała identyczną ścieżką jak w całej Europie Wschodniej, także w krajach, gdzie nowego socjalu nie wprowadzano. Śmiesznym epizodem był maj roku 2023, a był to czas wysokiej inflacji, gdy w kampanii wyborczej PiS ogłosiło podwyższenie 500 plus do 800 złotych: liberałowie tłumnie zakrzyknęli, że to oznacza odkotwiczenie oczekiwań inflacyjnych, wlanie benzyny do ogniska, i że czeka nas druga Wenezuela. Wszystko ucichło dosłownie 3 dni później, gdy pomysł podchwycił Donald Tusk, próbując zepchnąć PiS do defensywy. Pewnie wiedział, że inflacja ma źródła daleko poza Polską i to nie 500 czy 800 plus ją powoduje.

Podsumujmy: 500 plus zweryfikowało liberalne gusła na wielu poziomach. Często słyszę głosy, że to był ten moment, kiedy ludzie zaczęli negować naiwne thatcheryzmy, na których ich wychowano: brak pieniędzy, statyczna ekonomia, inflacja powodowana przez państwo i tym podobne. Chylmy czoło przed tymi, którzy wizjonersko mieli odwagę przepchnąć ten pomysł w roku 2016!

eprasa.pl de96da4d7d

Dlaczego PiS wciąż może sięgnąć po 40%

Jeżeli chcą Państwo ożywić nudną i ponurą imprezę, proponuję głośno powiedzieć, że PiS wciąż ma szansę na osiągnięcie blisko 40% w przyszłych wyborach. **Wybuch śmiechu i seria dowcipnych komentarzy gwarantowane**, a cała sytuacja jeszcze długo będzie wspominana jako wyśmienita anegdota. Tymczasem... stwierdzenie to jest po prostu prawdziwe.

Ludwik Pęzioł

Z pełną świadomością, że i ten tekst może trafić do annałów najbardziej humorystycznych prognoz politycznych ostatnich lat, pozwalam sobie mimo wszystko go napisać. Zwycięża we mnie przekonanie, że polska debata publiczna ugrzęzła w krótkoterminowej perspektywie: w natłoku bieżączki i absolutyzacji własnych mocy poznawczych komentatorów. A jednak powtórzę – PiS ma realną szansę na samodzielne rządy po przyszłych wyborach parlamentarnych, choć wiele zależy od czynników, których dziś nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

Złudzenie stałości

W retrospektywnym badaniu CBOS z 2011 roku pt. „Prawo i Sprawiedliwość. Dziesięcioletnia historia elektoratu" odnotowano pierwsze w dziejach partii przejście przez „ciemną dolinę". Po przegranych wyborach w 2007 roku poparcie dla PiS systematycznie topniało, a w latach 2008–-2010 wielokrotnie spadało poniżej 20%, podczas gdy Platforma Obywatelska była w sondażach absolutnym hegemonem. Recydywa tej sytuacji nastąpiła około 2011 roku. Wystarczy spojrzeć na tamte liczby, by zrozumieć, że przebyte już przez Jarosława Kaczyńskiego doliny bywały znacznie ciemniejsze od tej, w jakiej jego partia znajduje się obecnie.

Przytaczanie ówczesnych wypowiedzi polityków i publicystów, którzy z pełnym przekonaniem głosili, że PiS już nigdy nie wróci do władzy (a na pewno nie samodzielnie), byłoby dziś zadaniem aż zbyt łatwym. Najbardziej spektakularnym przykładem tamtych nastrojów był wywiad rzeka Andrzeja Morozowskiego z Michałem Kamińskim opublikowany pod znamiennym tytułem „Koniec PiS-u". Dominujące dziś w debacie publicznej głosy przypominają też echo wypowiedzi Ludwika Dorna z programu „Kawa na ławę" Bogdana Rymanowskiego w 2013 roku: „Nigdy nie należy ogłaszać, że ktoś nie ma szans na powrót do władzy, ale wydaje mi się, że te szanse są niewielkie przy obecnej linii politycznej [...]. PiS formułuje diagnozę, że jedyną opozycją w Polsce jest PiS – i że nie tylko samodzielnie wygra wybory, ale będzie mógł samodzielnie utworzyć rząd". Dziś przeważa dokładnie ten sam pogląd: PiS pozbawia się zdolności koalicyjnej, a przecież wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, iż nie jest w stanie osiągnąć samodzielnej większości. Tyle że historia ostatnich dwóch dekad pokazuje coś dokładnie odwrotnego – że to nie „pisowscy hurraoptymiści", lecz ich przeciwnicy ulegają politycznej naiwności.

Świadczy o niej też ignorowanie dynamiki polskiej sceny politycznej. Wystarczy przypomnieć sondaż IBRiS z początku 2016 roku, gdy Nowoczesna Ryszarda Petru zbliżyła się do 30% poparcia, wyprzedzając rządzące wówczas PiS. Nawet TVN przestawiła się wtedy na promowanie Petru kosztem Platformy Obywatelskiej jako potencjalnego przyszłego premiera. Zaledwie rok później,



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl de96da4d7d

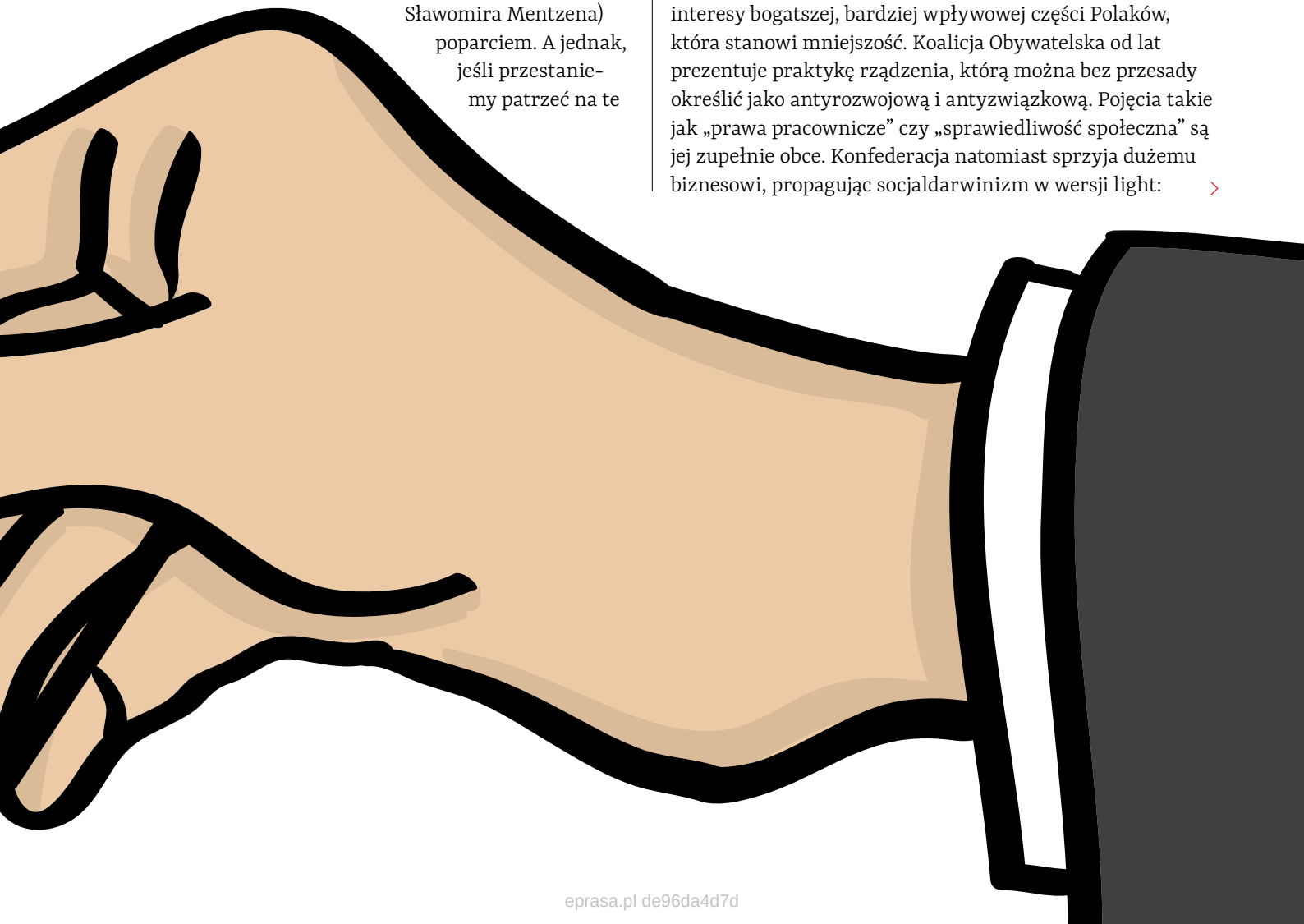
w połowie 2017 roku, Nowoczesna balansowała już na granicy 5%, a niedługo potem została całkowicie skonsumowana przez Koalicję Obywatelską. Podobne historie znamy z wcześniejszych lat. Tuż przed wyborami w 2001 roku sondaże OBOP dawały SLD nawet 45–50% poparcia, a dziś partia ta walczy w każdych wyborach o samo przetrwanie. O bardziej aktualnych losach Trzeciej Drogi i zupełnie zamierzchłym odrodzeniu postkomunistów kilka lat po transformacji nie trzeba już chyba wspominać.

Główna oś polaryzacji

By nieco utrudnić sobie zadanie, przyznajmy – w czasach wcześniejszych kryzysów PiS nie miało na prawicy tak silnej konkurencji jak dziś: w postaci Konfederacji czy Korony Grzegorza Brauna. Rzeczywiście, wówczas można było wróżyć powrót PiS-u do władzy, bo obok niego funkcjonował jedynie prawicowy i centroprawicowy plankton, podczas gdy dziś sytuacja wygląda inaczej: wspomniane formacje cieszą się relatywnie wysokim i stabilnym (dotyczy to głównie partii Sławomira Mentzena) poparciem. A jednak, jeśli przestaniemy patrzeć na te ugrupowania przez zużyte już etykiety „prawicy" i „lewicy", które coraz mniej znaczą, dostrzeżemy w nich inną, znacznie istotniejszą oś polaryzacji. Oś, która w pewnym sensie pozostawia PiS-owi monopol na reprezentowanie realnych, materialnych interesów większości społeczeństwa.

WYSTARCZY SPOJRZEĆ NA STARE SONDAŻE, BY ZROZUMIEĆ, ŻE PRZEBYTE JUŻ PRZEZ JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO DOLINY BYWAŁY ZNACZNIE CIEMNIEJSZE OD TEJ, W JAKIEJ JEGO PARTIA ZNAJDUJE SIĘ OBECNIE.

Wszyscy rywale PiS-u, którzy znajdują się dziś powyżej progu wyborczego, realizują (mniej lub bardziej otwarcie) interesy bogatszej, bardziej wpływowej części Polaków, która stanowi mniejszość. Koalicja Obywatelska od lat prezentuje praktykę rządzenia, którą można bez przesady określić jako antyrozwojową i antyzwiązkową. Pojęcia takie jak „prawa pracownicze" czy „sprawiedliwość społeczna" są jej zupełnie obce. Konfederacja natomiast sprzyja dużemu biznesowi, propagując socjaldarwinizm w wersji light:



eprasa.pl de96da4d7d

zgodnie z którym, jeśli ktoś jest biedny, to z własnej winy, a rynek wszystko sam ureguluje. „Solidarystyczny" kwiatek do tego liberalnego kożucha, czyli Ruch Narodowy, jest wbrew własnemu PR-owi mocno zliberalizowany gospodarczo, co zresztą często budzi frustrację wśród szeregowych działaczy. Korona Grzegorza Brauna z kolei mimo katolickiej retoryki nie ma nic wspólnego z katolickim nauczaniem społecznym. Od początku towarzyszy jej korwinowskie „ukąszenie", co przejawia się choćby w niedawnym ogłoszeniu przez wiceszefa partii, że Korona w postulatach wolnorynkowych prześcignie samą Konfederację. Ostatnia formacja powyżej progu – Nowa Lewica – jest natomiast całkowicie zwasalizowana przez Donalda Tuska. Z liderem w postaci biznesmena Włodzimierza Czarzastego trudno jej wiarygodnie występować w roli obrońcy ludzi wykluczonych czy ekonomicznie zmarginalizowanych.

Konkluzja jest prosta: to właśnie PiS reprezentuje dziś interes bytowy i ekonomiczny warstw ludowych, osób o niższych dochodach, a także znacznej części tzw. Polski powiatowej, plebejskiej i senioralnej. Jeśli spojrzymy na scenę polityczną z tej fundamentalnej perspektywy, zobaczymy, że PiS nie ma tu poważnego rywala. Pytanie tylko, czy ta przewaga zostanie odpowiednio wyartykułowana. Bo to, co dla jednych jest siłą PiS-u, przez jego przeciwników bywa przedstawiane jako wada: jako „socjalizm" albo „lewactwo". Określenia te nie mają jednak żadnej merytorycznej wagi. Są sloganem i pustym epitetem. Co więcej, pod tym względem to właśnie PiS ideologicznie odnosi się do polskiej katolickiej prawicy, konkurenci zaś – raczej protestanckiej, w której „wolny rynek" można uznać za część składową tamtejszego konserwatyzmu.

Rozpoznanie bojem

Doświadczenie uczy, że (mówiąc obrazowo) partie niestabilne klinicznie mają również niestabilne poparcie. Aktualny przypływ popularności Grzegorz Braun zawdzięcza prawdopodobnie nie tyle swoim poglądom, co raczej brakowi wiedzy wyborców o ich rzeczywistym charakterze. Poglądom, które cechuje niemal całkowity brak rozeznania w podstawowych interesach narodowych – zwłaszcza w kwestiach geopolitycznych. Hierarchia tematów poruszanych przez Brauna i jego środowisko jest znamienna: prym wiodą „żymianie", historyczne brytyjskie spiski przeciw Polsce, „banderyzacja" i inne obsesyjne wątki, którymi żyją internetowi „przebudzeni poszukiwacze prawdy". Antyukraiński „powab" przyciągający część wyborców sfrustrowanych napięciami między oboma narodami może jednak nie wytrzymać konfrontacji z rzeczywistością. Z czasem coraz więcej osób zda sobie sprawę, że ma do czynienia z partią kierowaną przez obsesje i paranoje, a nie przez realne myślenie państwowe.

Z drugiej strony PiS wciąż nie pojęło, że wielu wyborców Konfederacji nie kieruje się już wizją świata, w której Donald Tusk uosabia ontologiczne zło. Dla tej części elektoratu potencjalna „kolaboracja" z Tuskiem nie jest już dyskwalifikująca, a wszelki polityczny handel to wyraz sprytu i politycznych zdolności Mentzena. Wiele więc zależy od tego, czy PiS zdoła rozpoznać punkty, które w oczach wyborców Konfederacji – tych „do odzyskania" lub przynajmniej do zniechęcenia – mają realne znaczenie. A są to choćby: niski poziom profesjonalizmu tej partii (niepoważne zachowania Sławomira Mentzena to codzienność, a ugrupowanie roi się od działaczy o podobnym profilu), obciążające powiązania lobbystyczne z przeszłości (np. z przemysłem futrzarskim) czy wreszcie fakt, że Konfederacja jest w istocie efemeryczną manifestacją ducha czasu, nie zaś nośnikiem trwałych wartości konserwatywnych. PiS ma więc szansę w tej konfrontacji, pod warunkiem, że przestanie uderzać w przeciwnika na podstawie własnych, nieprawdziwych o nim wyobrażeń. Zamiast prymitywnych schematów potrzebny jest solidny research i chłodna diagnoza.

> POTENCJALNYM KLUCZEM DO PONOWNEGO ZDOBYCIA SAMODZIELNEJ WŁADZY POZOSTAJE FAKT, ŻE PiS WCIĄŻ JEST JEDYNYM AUTENTYCZNYM REPREZENTANTEM „TYCH SŁABSZYCH" W TRZECIEJ RZECZPOSPOLITEJ.

Choć mogłoby się wydawać, że od 2015 roku zmieniło się wszystko, w rzeczywistości podziały w polskim społeczeństwie pozostały w dużej mierze te same. Zaniedbany podział klasowy, kulturowy i regionalny wciąż odgrywa decydującą rolę, a PiS zbyt rzadko i zbyt nieśmiało akcentuje fakt, że jego konkurencja tych grup w ogóle nie reprezentuje. Zamiast tego koncentruje się na personalnych prztyczkach, niszczeniu praworządności przez Tuska i innych kwestiach, które nie budują trwałego kapitału politycznego, a raczej wywołują ziewanie tych niezaangażowanych. Tymczasem jego potencjalnym kluczem do ponownego zdobycia samodzielnej władzy pozostaje fakt, że PiS wciąż jest jedynym autentycznym reprezentantem „tych słabszych" w Trzeciej Rzeczpospolitej.

eprasa.pl de96da4d7d



Piotr Skwieciński

Zapluty karzeł i metro

Gdybym miał powiedzieć, które z wydarzeń związanych z Marszem Niepodległości uważam za mówiące najwięcej o obecnym stanie Polski, wymieniłbym zapewne pogłoski o wyłączeniu na czas Marszu kluczowej stacji metra, i reakcję na – tym razem autentyczne – wyłączenie w tym czasie kolejowego Dworca Centralnego. Czy raczej – o wywołanym przez oba te wydarzenia szumie w społecznym polu informacyjnym, owocującym charakterystycznymi emocjami.

Szum i emocje polegały, najkrócej, na tym, że strona – mówiąc umownie – promarszowa oczekiwała, że władze, przeciwdziałając Marszowi, wykonają jakieś działania wyjątkowo perfidne. Że na pewno przebrani po cywilnemu policjanci dokonają jakichś strasznych prowokacji, na skutek czego Marsz zostanie skompromitowany, a pewnie też rozwiązany w trakcie. W sukurs snującym takie teorie przyszło rzeczywiste działanie – wyłączenie z ruchu na parę dni, w tym na 11 listopada, największego warszawskiego dworca kolejowego. A także plotki o zamknięciu czy to całego metra, czy przynajmniej położonej najbliżej punktu wymarszu demonstrantów stacji Centrum.

Było bardzo pouczająco obserwować w tym czasie prawicowy internet, prawicowych internautów i ich reakcje na oficjalne informacje i tłumaczenia. Najkrócej mówiąc, cechowała je całkowita niewiara we wszystko, co padało z oficjalnych ust, a wręcz we wszystko, co dezawuowało wizje Wielkiej Prowokacji Sił Ciemności, nawet jeśli wychodziło to ze źródeł bynajmniej nie prorządowych. Metro wcale nie jest zamknięte? Nie prostuj tego, bo na pewno jest. A nawet jeśli nie jest, to prostowanie leży w interesie Donalda Tuska, więc lepiej milcz.

Można byłoby w tym miejscu zamknąć felieton zwyczajowym narzekaniem na to, co wojna polsko-polska zrobiła z nami i z naszym zaufaniem do siebie. Że w efekcie nikt nikomu nie wierzy, i że to jest straszne. I byłoby to narzekanie słuszne.

Tylko że tak jakby niepełne. Bo przecież ci, którym prawicowy segment opinii nie wierzy, na tę niewiarę zapracowali sobie aż nadto. Ja sam, przecież skłonny do symetryzmu, widzę to wyraźnie. PKP mówi, że wybrało na naprawy te daty, bo statystyka wskazuje, że w okresie 11 listopada z dworca centralnego korzysta najmniej pasażerów, bo nie jeżdżą do pracy i do szkoły? Myślę że nie kłamie, myślę że nie chodziło o to, żeby patrioci nie mogli dojechać na Marsz. Sądzę, że rzeczywiście jedenastolistopadowy termin wyszedł im ze statystyk ruchu pasażerów. Ale zarazem nie postawię złamanego grosza na to, że kiedy kolejarskie władze zorientowały się, iż interferuje on z Marszem, to przeraziły się, co premier i minister mogą z nimi zrobić, jeśli kierując się chęcią uniknięcia wrażenia polityczności, spróbują zmienić ten termin. I wolały brnąć.

Albo się wręcz ucieszyły. Wszak za znalezienie się bodaj na moment na pierwszej linii frontu wojny z PiS-em premier z ministrem mogą tylko nagrodzić.

Nie będę więc narzekał na – jak to kiedyś nazwali chyba Robert Mazurek z Igorem Zalewskim – „prawicowisko". Elegijnie przypomnę, że w II RP zwalczające się siły polityczne nienawidziły się chyba tak samo jak teraz, ale jednak bodaj trochę się nawzajem szanowały i miały do siebie zaufanie – na jakimś niskim, ale jednak istniejącym poziomie. Choć i wtedy „zapluty karzeł" (tę metaforę propaganda PPR stosowała do AK, ale tylko ją przejęła, bynajmniej nie wymyśliła – tak nazwał Marszałek endecję) potrafił snuć wątki na przykład o, służącej sprzedawaniu Polski, tajnej linii telegraficznej łączącej Belweder z Trockim. Takich, którzy w to wierzyli, było sporo, ale jednak mniej niż dzisiejszych wyznawców analogicznych teorii.

Ale cóż, Piłsudscy, Dmowscy i Witosowie nie żyli w epoce internetu, w której nie istnieje prawda, tylko narracje.

eprasa.pl de96da4d7d



Zniszczyć centrum – to już strategia

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Usuwanie z politycznej sceny partii Szymona Hołowni zbiega się próbą likwidowania politycznego centrum. Donald Tusk doskonale rozumie, że **chwiejny elektorat** podatny na argumenty prawicy może pozbawić go władzy.

Mariusz Staniszewski

Jesteś z Tuskiem lub przeciw niemu – innego wyboru nie będzie. Tak w skrócie można przedstawić strategię obecnego premiera, która ma przynieść sukces wyborczy w 2027 roku. Aby doprowadzić do ostatecznej polaryzacji społeczeństwa, premier będzie nasilał prześladowania posłów opozycji – już widać, że zamierza je rozszerzyć na polityków Konfederacji – oraz likwidował wszelkie byty polityczne znajdujące się w centrum.

W tej wersji polityka ma być pozbawiona niuansów, a wyborca skazany na decyzję wyłącznie emocjonalną. Ma wybierać między dobrem a złem. Oczywiście Tusk wierzy, że większość uzna go za bohatera pozytywnego.

Nieudana próba

Premier ma ogromną trudność w docieraniu do elektoratu centrowego. Jest przez niego nielubiany, nie cieszy się jego zaufaniem i na dodatek posługuje się językiem nieakceptowalnym dla umiarkowanych wyborców. Przekonał się o tym boleśnie na ostatniej prostej kampanii prezydenckiej, gdy udzielił wywiadu Bogdanowi Rymanowskiemu, jednemu z tych mainstreamowych dziennikarzy, który nie deklaruje wiernopoddańczej fascynacji szefem rządu. Podczas rozmowy na antenie Polsatu Donald Tusk ujawnił słynne już „dowody" na groźne powiązania Karola Nawrockiego. Okazało się wówczas, że informatorem Tuska był mitoman Jacek Murański, który zarabia na życie, bijąc się w klatkach. Dla fanatyków oglądających TVN czy czytających Onet i „Gazetę Wyborczą" to wystarczyło – uznali obecne-

eprasa.pl de96da4d7d

go prezydenta za alfonsa i człowieka z półświatka.

Inaczej jednak sprawa wygląda wśród wyborców, którzy bezrefleksyjnie nie łykają prymitywnej propagandy. Oni nie tylko nie za bardzo wierzą w słowa premiera, ale na dodatek domagają się twardych dowodów. Tych szef rządu nie był w stanie przedstawić.

Co więcej, okazało się, że nawet proste i nienapastliwe pytania Rymanowskiego doprowadziły Tuska do stanu rozdygotania. Z każdą odpowiedzią kompromitował siebie i ostatecznie topił szanse Rafała Trzaskowskiego na prezydenturę. Przekonał się, że elektoratowi spoza sekty wyznawców premiera i jego formacji nie wystarczą insynuacje oraz półsłówka. Po raz kolejny dotarło także do niego, że obiektywne media są dla niego śmiertelnym zagrożeniem. Dlatego je również uznał za wroga.

Tylko wśród swoich

Tusk od dawna nie spotyka się z dziennikarzami, którzy chcą zadawać trudne pytania. Nie tylko ich unika, ale odbiera im także możliwość udziału we własnych konferencjach prasowych. Nie wpuszcza na nie dziennikarzy TV Republika i wPolsce24, gdy trudne i nieoczekiwane pytanie zadała reporterka „Tygodnika Solidarność", szybko otrzymała informację, że „to koniec współpracy".

Premier może pojawić się w TVN czy podcaście Wojewódzkiego i Kędzierskiego, ponieważ wie, że oni nie będą go dociskać, dopytywać o niespełnione obietnice czy nieudolną politykę. Jeśli o coś mogą mieć pretensje, to wyłącznie o zbyt słabe represje wobec polityków PiS. To oczywiste tchórzostwo ze strony szefa rządu, ale posiadające głębokie uzasadnienie praktyczne. Tusk musi dbać o to, by do jego wiernych wyborców docierał spójny przekaz. Nie ma tu miejsca na niuansowanie oceny pracy rządu, dopytywanie o szczegóły czy wreszcie próby publicznego rozliczania. Do fanatyków nie mogą docierać żadne dwuznaczne przekazy ani niejasności. Oni stale muszą być utwierdzani w przekonaniu o zagrożeniu ze strony PiS oraz konieczności ostatecznego się z nim rozprawienia. Już samo dążenie do tego celu wystarczająco spaja szeregi, by utrzymywać zwolenników w stanie pobudzenia.

> TRZECIA DROGA ZAABSORBOWAŁA POPARCIE TYCH, KTÓRZY NIE CHCĄ ANI TUSKA, ANI KACZYŃSKIEGO.

Gdyby w serca i umysły tych ludzi wdarły się wątpliwości co do tego, czy polityka rządu przykrywała wielka fala zemsty na opozycji.

Dzięki niej premier ma nadzieję na rozszerzenie wiernego i bezrefleksyjnego elektoratu, by głosów wystarczyło do wygrania wyborów i samodzielnego rządzenia. Aby było to możliwe, trzeba się pozbyć takich ludzi jak Bogdan Rymanowski. To właśnie dlatego tak mocno zaatakowało go środowisko medialne blisko związane z Koalicją Obywatelską.

Nawet jeśli nie uda się go usunąć z Polsatu czy Radia Zet, to sukcesem będzie przypięcie mu chociaż łatki pisowca. Wtedy jego wywiady i pytania tracą moc. Stają się elementem politycznego sporu między prawicą i liberalną lewicą. Przestają być wyrazem dociekliwości dziennikarskiej oraz dążenia do prawdy.

Na lewicy prawda zresztą nie istnieje. Liczy się tylko interpretacja.

Ryzykowny plan

W oczywisty sposób Donald Tusk będzie więc dążył do wystawienia w wyborach wspólnej listy, która dawałaby mu szanse na uzyskanie poparcia około 40 procent. To może wystarczyć do samodzielnych rządów. Aby sztuki dokonać, musi

> PRZEWAGA RZĄDU NAD OPOZYCJĄ JEST EFEKTEM WYŁĄCZNIE SPRAWCZOŚCI WYNIKAJĄCEJ ZE STOSOWANIA PRZEMOCY BEZPOŚREDNIEJ I INSTYTUCJONALNEJ ORAZ LEKCEWAŻENIA PRAWA.

padkiem nie prowadzi do destrukcji państwa – szczególnie wymiaru sprawiedliwości i gospodarki, los Tuska byłby przesądzony. Dlatego tak bardzo dba, by wszelkie słowa usunąć z politycznego centrum cały plankton, który może odbierać głosy.

Tu oczywiście pierwszym łupem jest partia Szymona Hołowni, która bez obecnego lidera nie ma szans

eprasa.pl de96da4d7d

na dłuższe trwanie. Sam odchodzący marszałek Sejmu wydaje się pogodzony z losem oraz porażką w starciu z szefem rządu. Można się spodziewać, że w najbliższych miesiącach część polityków z Polski 2050 formalnie przejdzie do KO, ale pozostali będą krążyć w jej orbicie.

To jednak nie jest idealna strategia, ponieważ wahający się wyborcy tak po prostu nie znikną na żądanie premiera. Nie tylko nie przeniosą swoich przekonań i wyborczych preferencji automatycznie na partię Tuska, ale zaczną szukać nowej formacji, która odpowie na ich oczekiwania. Wielu z nich może wrócić z sympatiami do Konfederacji lub nawet do PiS.

Ponadto lider Koalicji Obywatelskiej z pewnością pamięta, że sięgnął po władzę właśnie dlatego, że Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz postanowili założyć Trzecią Drogę. To ona zaabsorbowała poparcie tych, którzy nie chcą ani Tuska, ani Kaczyńskiego. Zdaje się jednak, że wykluczył powtórzenie tego scenariusza.

Zasadnicze powody są dwa. Po pierwsze, partia o podobnym do Polski 2050 centrowym charakterze mogłaby po najbliższych wyborach zwrócić się ku PiS i właśnie tej partii zapewnić rządy. Obecny rząd i jego szef są przecież wyjątkowo niepopularni. Ich przewaga nad opozycją jest efektem wyłącznie sprawczości wynikającej ze stosowania przemocy bezpośredniej i instytucjonalnej oraz lekceważenia prawa.

Trudno dziś powiedzieć, czy tego paliwa wystarczy na kolejne dwa lata. Być może jednak premiera dopadnie proza codziennego życia obywateli – rosnące bezrobocie i rachunki za energię, zapowiadany wzrost inflacji, katastrofa systemu ochrony zdrowia czy wściekłość rodziców z powodu zmian w szkołach.

Tusk jednak liczy na to, że duża grupa wyborców odsunie na bok te wszystkie niedogodności, gdy na horyzoncie zobaczy widmo zwycięstwa prawicy. Aby jednak bała się przyjścia Jarosława Kaczyńskiego, Przemysława Czarnka, Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena, PiS i Konfederacja muszą być wystarczająco zohydzone, jak formacje złodziei i przestępców. W ciągu najbliższych miesięcy będzie więc więcej zarzutów, zatrzymań, listów gończych i aktów oskarżenia.

Największe zagrożenia

Na dziś PiS i Konfederacja znalazły się w na tyle głębokiej defensywie, że wydają się nie być zdolne do twardej odpowiedzi liderowi KO. Wszelkie próby odwrócenia uwagi od immunitetu Zbigniewa Ziobry – polityka nielubianego nawet na prawicy – i skupienia uwagi opinii publicznej na pogarszającym się stanie służby zdrowia czy zaniechanych inwestycjach infrastrukturalnych nie przynoszą spodziewanego efektu.

Zagony Tuska atakują na wszystkich flankach. Co prawda ofensywa nie jest ani inteligentna, ani szczególnie przemyślana, jednak PiS zostało zepchnięte do obrony. W dodatku musi stawać murem za ludźmi, których znaczna część społeczeństwa chciałaby się już z polityki pozbyć.

W tej sytuacji głównym wrogiem rządzącej koalicji staje się prezydent Karol Nawrocki, który nie pozwala się szantażować ani Tuskowi, ani Żurkowi, ani liberalnym mediom. Głowa państwa nie daje rządowi chwili wytchnienia, odrzuca każdą szkodliwą dla państwa ustawę i wysyła premierowi jasny sygnał: nie zawaham się. To Nawrocki jest dziś realną blokadą przed ostateczną dewastacją wymiaru sprawiedliwości czy szaleństwami ekologów.

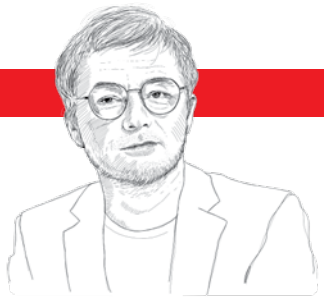
Drugim zagrożeniem są niezależne media, które – wraz z narastaniem konfliktów wewnątrz koalicji – otrzymują coraz dokładniejszą wiedzę o tym, co dzieje się na zapleczu władzy. To pokazuje prawdziwe działania rządu, które można by skwitować jednym słowem: stagnacja. Ponadto systematycznie obnażają prymitywną propagandę rządu – jak na przykład z rzekomymi zwolnieniami z paktu migracyjnego czy zablokowaniem ETS2. W rzeczywistości to tylko wyrok odłożony w czasie, czyli po wyborach.

No i trzecim, być może największym, zagrożeniem dla KO są jej politycy. Spełniają swoją rolę jako prymitywni siepacze w codziennej nawalance, ale pokazują wyjątkowo prymitywne oblicze władzy. Witold Zembaczyński, Dariusz Joński, Michał Szczerba, Marcin Kierwiński czy Adam Szłapka to ludzie, którzy nowych wyborców KO nie przysporzą. Z nimi trudno będzie przejąć całe centrum.

NIEZALEŻNE MEDIA OBNAŻAJĄ PRYMITYWNĄ PROPAGANDĘ RZĄDU – JAK NA PRZYKŁAD Z RZEKOMYMI ZWOLNIENIAMI Z PAKTU MIGRACYJNEGO CZY ZABLOKOWANIEM ETS2.

eprasa.pl de96da4d7d

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Widzimisię Karola Nawrockiego

Jan Wróbel

W 2024 r. do Polski sprowadzono 8,4 mln świń, a wartość importu w tym sektorze sięgnęła 3,5 mld zł. 40% warchlaków na tucz pochodziła z importu. Skąd? Z Danii. Dowcipkowałem kiedyś (uwaga, suchar!), że Ruch Obrony Granic Roberta Bąkiewicza ma zapewnioną robotę, jak już wygra niemieckimi imigrantami – będzie blokował naszą granicę przed prosiętami. Inna rzecz, czy ucieszyłby się z tej akcji polski rolnik. Bo przecież prosięta po to są sprowadzane, by stały się naszą spolonizowaną świnką i przyniosły dochód. Ale ja nie o tym, tylko o pokusie bełkotu.

Wyobraźcie sobie Państwo, że zaproszony do jakiegoś naprawdę fajnego podcastu rozwijam skrzydła. Mówię, że „niemal wszystkie" warchlaki, które potem jemy, „przyjeżdżają z Niemiec i podległych im krajów". Dodaję, że hodowla prosiąt przeznaczonych na eksport do Polski praktycznie nie podlega żadnej „wiarygodnej i niezależnej" procedurze kontroli, a „nie jest żadną tajemnicą", jak chętnie karmi się te małe zwierzątka paszą bazującą (to chyba mądrze brzmi) na zmodyfikowanej soi S-89, S-102 z Argentyny. Badania prof. Koeniga Szlezwik-Holsztyn wskazują przy tym, że blisko 91% prosiąt jadących do Polski nie zna języka polskiego nawet w podstawowym stopniu. Nie dziwi chyba, że publikacji wyników badań szanowanego profesora odmówiły „utrzymywane przez rząd instytucje naukowe".

Wcale nie jest łatwo podważyć wszystkie te stwierdzenia, zwłaszcza wypowiadane szybko i naraz. Dobrze przygotowana mieszanka danych poprawnych i kolorowych, półprawd i zmyśleń bywa świetnie przyswajalna. Dlaczego jednak podobny chaos powstaje przy dyskusjach na temat interpretacji konstytucji? To żadne czary-mary. Krajowa Rada Sądownictwa nie została powołana w zderzeniu z konstytucją, tylko w zderzeniu z przyjętą po uchwaleniu konstytucji praktyką. A prezydent uczestniczy w nominacji sędziów jako głowa państwa, ale nie ma uprawnień, by wymagać od nich dodatkowych kwalifikacji moralnych.

INTERPRETACJA KONSTYTUCJI TO ŻADNE CZARY-MARY.

Co prawda, można by sobie wyobrazić jakąś szczególną sytuację, w której nagięcie konstytucji przez prezydenta w tej sprawie spotkałoby się z powszechną aprobatą – i mielibyśmy sytuację, którą znamy z czasów tzw. ustawy o bestiach. Wtedy to niemal wszyscy przyklasnęli prawu pozwalającemu trzymać w zamknięciu ludzi, którym skończył się wyrok. Być może, gdyby któryś z idących na nominację sędziów okazał się znienacka szpiegiem ruskim, prezydent pokazałby mu figę zamiast nominacji – i wszyscy byliby szczęśliwi (poza rezydenturą wywiadu Federacji Rosyjskiej).

Karol Nawrocki pokazał jednak figę agentom... Waldemara Żurka. Jak dla kogoś to to samo, ma frajdę. Trzeźwiej widzący rzeczywistość frajdy nie mają, bo widzą, że prezydent stosuje mało demokratyczną politykę „widzimisię".

eprasa.pl de96da4d7d

Bałtyk – polskie okno na świat

– Obserwując działania Brukseli, mam wątpliwości co do reindustrializacji państw unijnych i tworzenia wielkich nowych zakładów na Pomorzu, jeśli nie odejdziemy od obecnej, zabójczej dla przemysłu polityki zielonej transformacji. Zwłaszcza że Chiny kontrolują szereg metali rzadkich, bez których transformacja energetyczna nie może się po prostu wydarzyć – mówi **Kacper Płażyński** w rozmowie z **Konradem Wernickim**.

– Czy polska klasa polityczna ma świadomość, jak strategicznie ważny jest dla Polski Bałtyk? Przez lata wydawało się, że ten był lekceważony. Zawsze patrzyliśmy na Zachód jako główną oś rozwoju, a nigdy na Północ, która de facto stanowi nasze wrota i okno na świat.

– Temat morza staje się coraz bardziej obecny w debacie. Na pewno ta świadomość się zwiększa. To, że przez długie lata była niedostateczna, wynikało z prostego faktu historycznego: Polska jako duże państwo bloku wschodniego, satelita Związku Sowieckiego, była dla Rosji szczególnym zagrożeniem. Sowieci słusznie założyli, że jeśli rozpad bloku komunistycznego miałby się gdzieś zacząć, to właśnie w Polsce – co się zresztą wydarzyło.

Z tego powodu na mapie państw Morza Bałtyckiego Polska, choć dysponowała długą linią brzegową, w porównaniu do innych państw regionu miała ją w zasadzie niezagospodarowaną w sposób poważny i proporcjonalny do swojego potencjału. Rosjanie nie chcieli stworzyć z Polski zbyt mocnego hubu logistycznego. Ograniczali nasze możliwości dostępowe i wojskowe na morzu, mając świadomość zasady z czasów II wojny światowej: kto panuje na morzach, ten panuje wszędzie indziej. Dlatego też nasza Marynar-

NASZE INTERESY NA MORZU SĄ LICZNE: DOSTAWY SUROWCÓW, INFRASTRUKTURA – GAZOPORT, NAFTOPORT, GAZOCIĄG BALTIC PIPE, A TAKŻE BUDOWANY PŁYWAJĄCY TERMINAL GAZOWY (FSRU).



Fot. arch.

eprasa.pl de96da4d7d

ka Wojenna była po prostu skarlała w porównaniu do sił lądowych. Pamiętam, że dzisiejszy szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego mówił mi, że kadry oficerskie Marynarki Wojennej w czasach PRL były najbardziej zinfiltrowane i podległe rozkazom Moskwy spośród wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Tych powodów, dla których polskie morze było niedocenione, było bardzo wiele, wbrew świeżym tradycjom, jak chociażby wielki sukces budowy portu w Gdyni.

Teraz widzimy na tym polu znaczącą zmianę. Można mówić o rewolucji myślenia, zwłaszcza po pełnoskalowym ataku Rosji na Ukrainę. Jesteśmy w ogromnej większości zależni właśnie od drogi morskiej, jeśli chodzi o dostawy gazu, ropy, a także innych ważnych materiałów niezbędnych do funkcjonowania gospodarki. Nasze interesy na morzu są liczne: dostawy surowców, infrastruktura – Gazoport, Naftoport, gazociąg Baltic Pipe, a także budowany pływający terminal gazowy (FSRU). Do tego dochodzą kable telekomunikacyjne i energetyczne na dnie Bałtyku.

– Czy te wszystkie aktywa, ta strategiczna infrastruktura, są dziś odpowiednio chronione? Czy politycy w pełni rozumieją skalę koniecznych nakładów na obronność w tym sektorze?

– Oczywistością jest, że do tej infrastruktury surowcowej i logistycznej dochodzą nowe, duże sprawy. Myślę o budowie elektrowni jądrowej oraz o przesunięciu punktu ciężkości energetyki na nasz offshore, czyli farmy wiatrowe na szelfie. Tego jest naprawdę dużo.

Jeśli chodzi o rozwój zdolności obronnych, to rząd Prawa i Sprawiedliwości przekroczył pewną granicę psychologiczną i ekonomiczną. Zrozumiano, że świat zmierza w tę stronę i że polska gospodarka w końcu zmierza w stronę morza. Musimy mieć środki, by bronić tych interesów zarówno z lądu, jak i z morza. Stąd decyzja o uratowaniu przed upadkiem Stoczni Wojennej, aby nie utracić zdolności do budowania własnego potencjału zbrojeniowego w oparciu o kluczową, państwową stocznię. To się z powodzeniem udało. Za tym poszły kontrakty i inwestycje w robotyzację oraz modernizację Stoczni Wojennej. Budujemy największe i najbardziej skomplikowane jednostki, jakich nie budowaliśmy nigdy w historii polskiego przemysłu stoczniowego – okręty klasy fregata w ramach programu Miecznik, całe szczęście kontynuowane przez obecny rząd. Ponadto realizowane są inne projekty w kooperacji z prywatnymi stoczniami, w tym okręty wywiadu radioelektronicznego czy niszczyciele min.

Zrozumienie jest na zupełnie innym poziomie niż 20 lat temu, kiedy mówienie o rozwoju Marynarki Wojennej budziło raczej uśmiechy politowania i brakowało decyzji modernizacyjnych.

– Jednak ciągle nie mamy okrętów podwodnych, które są krytycznie potrzebne do ochrony



eprasa.pl de96da4d7d

Baltic Pipe i farm wiatrowych. Nie ma też śmigłowców, które mogłyby niszczyć wrogie okręty podwodne. Jest jeszcze wiele do zrobienia.

– Oczywiście, jest jeszcze dużo do zrobienia. To są trudne decyzje. Budowa okrętów podwodnych pod względem trudności technologicznych jest porównywalna chyba tylko do budowy lotniskowców. To jest absolutny top realizacji takich projektów. Chciałbym, aby przy zleceniach na tak wartościowe kontrakty zagwarantować choć częściową kooperację stoczni w Polsce. Dzięki temu otrzymałyby know-how w postaci najnowszych technologii, pozwalających na dalszą robotyzację i zwiększanie konkurencyjności. Demografia jest nieubłagana, a i proces migracyjny należy ochłodzić, a nie zwiększać. Bez robotyzacji może zabraknąć rąk do pracy.

Musimy patrzeć na przemysł stoczniowy w kontekście długoterminowym. Budowa statku to nie jest budowa samochodu; wymaga ogromnych zdolności, gwarancji kadrowych i dużego zabezpieczenia finansowego. Mądre państwo powinno dopomagać temu filarowi biznesu także w chudszych latach, wiedząc, że w okresie hossy inwestycja ta zwróci się z nawiązką.

– Jak Pan ocenia kondycję polskiego przemysłu stoczniowego dzisiaj?

– I dobrze, i źle. Na Pomorzu dużo się udało. Mamy konkretne kontrakty, co pozwala tworzyć długoletnią perspektywę rozwoju stoczni i zabezpiecza kapitał ludzki. Inwestycje w Stocznię Wojenną i zlecenia dla prywatnych firm, np. dla tych budujących luksusowe jachty (jak Galeon – jeden z naszych największych wolumenów eksportowych w branży), dowodzą, że w tym regionie sporo się dzieje.

Trudniej jest w zachodniopomorskim, bo tamte ośrodki zostały wyjątkowo paskudnie potraktowane biznesowo za czasów pierwszych rządów Donalda Tuska. Wszyscy pamiętamy historię inwestora, który miał ratować Stocznię Szczecińską, ale nigdy się nie pojawił. Grunty zostały rozparcelowane, a ludzie, fachowcy, rozpierzchli się po Europie i już nie wrócili. Znalezienie nowych, wykwalifikowanych kadr w Szczecinie jest dziś sztuką, zwłaszcza gdy sto kilometrów dalej, w Niemczech, stocznie płacą dwa razy więcej.

> OD ROKU OPRACOWYWANA JEST MORSKA STRATEGIA PRZEMYSŁOWA UE, KTÓREJ KLUCZOWYM ELEMENTEM MA BYĆ WIZJA ROZWOJU PRZEMYSŁU STOCZNIOWEGO.

– Konkurencja globalna jest niezwykle silna. Rynkiem trzęsą Azjaci, głównie Chińczycy. Polska jest tu w zasadzie niewidoczna, a i sama Unia Europejska nie jest wielkim graczem.

– Chińczycy, owszem, trzęsą, ale z jednego bardzo konkretnego powodu. Oni utrzymują, z wolnohandlowego punktu widzenia, dumpingowe ceny. Dotują produkcję swoich statków na poziomie nawet 30% z ich budżetu państwowego. To jest kompletny absurd! Jak europejskie, polskie stocznie mają z nimi konkurować? W Unii Europejskiej, która przez lata blokowała wszelkie formy wsparcia – przynajmniej w przypadku polskiego przemysłu stoczniowego – nastąpiło opóźnione, ale jednak, mam nadzieję, przebudzenie. Od roku opracowywana jest Morska Strategia Przemysłowa UE, której kluczowym elementem ma być wizja rozwoju przemysłu stoczniowego. Mam nadzieję, że dojdzie do rozluźnienia restrykcyjnego podejścia do pomocy publicznej. Jeśli to się nie zmieni, europejskie stocznie nadal będą tracić udział w globalnej produkcji, co obserwujemy od co najmniej 20 lat. Kiedyś budowaliśmy najwięk-

> KLUCZOWA JEST DŁUGOFALOWA POLITYKA UZNAJĄCA PRZEMYSŁ STOCZNIOWY ZA SEKTOR STRATEGICZNY I ZAPEWNIAJĄCA MU STAŁE ZAMÓWIENIA.

eprasa.pl de96da4d7d

szy kawał tego tortu, teraz jesteśmy daleko za azjatyckimi potęgami.

– Obecność Polski w Unii Europejskiej na pewno działa na korzyść polskich portów, bo te stały się wrotami na europejski rynek. Czy ten potencjał wykorzystujemy optymalnie?

– W 2015 roku Port w Gdańsku był 17. największym portem w Europie, a gdy jako Prawo i Sprawiedliwość oddawaliśmy rządy, był 5. Był to najszybciej rozwijający się port na naszym kontynencie. Zyski z działalności Portów w Gdyni i Szczecinie-Świnoujściu są również bardzo solidne. Co najważniejsze: dochody z cła i podatków osiągane w tych trzech portach wynoszą około 10% wszystkich dochodów do budżetu państwa polskiego. To kwoty rzędu 60–80 miliardów złotych rocznie, które służą całej Polsce, od Krakowa po Wybrzeże.

Gospodarka to jednak wyścig. Po sankcjach Sankt Petersburg wypadł z gry, ale my nadal ścigamy się z portami głównie niemieckimi. Zresztą skutecznie. W tym kontekście przywrócenie Odrze żeglowności i budowa głębokowodnego terminalu w Świnoujściu to ich koszmar.

– Unia Europejska to także konkurencja wewnętrzna, np. z Niemiec czy Skandynawii. Jakie są nasze przewagi konkurencyjne?

– Na Skandynawię patrzę raczej w kategoriach subtelnej współpracy niż ostrej konkurencji. To czy wybiorą porty niemieckie lub polskie na przerzut dóbr na szlaku Bałtyk – Adriatyk to kwestia naszej atrakcyjności i tego, czy mamy jakieś karty w rękawie, by ich do siebie przekonać. Patrząc za horyzont, kluczowe jest przygotowanie się do nowych szlaków logistycznych.

Do końca tej dekady, dzięki budowie tuneli w Austrii, powstanie konkurencyjne połączenie kolejowe łączące Weronę – największe lądowe centrum logistyczne w Europie, specjalizujące się w naczepach tirowych – z północną Polską. Ta nowa trasa będzie szybsza niż dotychczasowa, wiodąca przez Niemcy i Danię do Skandynawii. To duży kawał tortu, który możemy odebrać Niemcom. Aby to wykorzystać, potrzebujemy w polskich portach odpowiedniego miejsca na duży terminal RO-RO (Roll-on/Roll-off), czyli dla statków przewożących naczepy tirowe. Do tej pory takiego terminala z prawdziwego zdarzenia nie mamy. W Gdańsku, gdzie terminal RO-RO zostałby wciśnięty w już zakorkowany obszar portowy, byłoby to kontrproduktywne i wymagałoby olbrzymich środków na nową infrastrukturę komunikacyjną. Musimy znaleźć lepsze wyjście.

Kolejnym przyszłym szlakiem jest połączenie kolejowe ze Lwowa do granicy ukraińsko-rumuńskiej, które jest finansowane przez UE. Kiedy ten szlak, omijający Karpaty, połączy Polskę z Morzem Czarnym przez Ukrainę i Rumunię, znaczna część ładunków z Zakaukazia i Turcji, specjalizujących się w przewozach naczepami tirowymi, trafi do rumuńskich portów, a następnie koleją przez Polskę na Zachód i do Skandynawii. Na to też musimy być gotowi, by nie dać nikomu innemu szansy wejścia w nasze miejsce.

– Po budowie elektrowni jądrowej i farm wiatrowych widać, że energetyka przesuwa się na północ. Czy przemysł za nią podąży?

– Myślę, że to zależy od kursu Unii Europejskiej. Obserwując działania Brukseli, mam wątpliwości co do reindustrializacji państw unijnych i tworzenia wielkich nowych zakładów na Pomorzu, jeśli nie odejdziemy od obecnej, zabójczej dla przemysłu polityki zielonej transformacji. Zwłaszcza że Chiny kontrolują wiele metali rzadkich, bez których transformacja energetyczna nie może się po prostu wydarzyć. W każdej chwili mogą nam wyciągnąć wtyczkę. Musimy być mądrzejsi, niż byliśmy w czasie projektów Nord Stream z Rosją.

Jeśli chodzi o przemysł stoczniowy, potencjał jest realny. Myślę, że nie wrócimy do bycia 5. producentem statków na świecie, ale możemy na tym dobrze zarabiać. Kluczowa jest długofalowa polityka uznająca przemysł stoczniowy za sektor strategiczny i zapewniająca mu stałe zamówienia.

W 2015 R. PORT W GDAŃSKU BYŁ 17. NAJWIĘKSZYM PORTEM W EUROPIE, A GDY JAKO PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ ODDAWALIŚMY RZĄDY, BYŁ 5.

Kacper Płażyński – polski polityk, samorządowiec i adwokat, poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej IX i X kadencji.

eprasa.pl de96da4d7d



FORUM SAMORZĄDOWE W ZAKOPANEM

Przyszłość i wyzwania lokalnych wspólnot

Fot. Michał Lepecki

Już 25 listopada w Zakopanem rozpocznie się dwudniowe Forum Samorządowe, które zgromadzi ponad 800 uczestników – przedstawicieli administracji, biznesu, kultury i mediów. W programie zaplanowano ponad sto debat, warsztatów, prezentacji i sesji plenarnych poświęconych najważniejszym wyzwaniom, przed jakimi stoją dziś polskie samorządy.

Konrad Wernicki

– To duża szansa dla Zakopanego, a zarazem dla całej Małopolski – podkreślił Łukasz Filipowicz, burmistrz miasta Zakopane, podczas konferencji prasowej po podpisaniu umowy o współpracy z organizatorami. – Cieszę się, że tak prestiżowe wydarzenie odbędzie się właśnie u nas, w miejscu, gdzie tradycja spotyka się z nowoczesnością. Forum stanie się przestrzenią rozmowy o przyszłości samorządów i możliwościach rozwoju lokalnych społeczności – dodał.

Kluczowe tematy: bezpieczeństwo, energia, finanse

Podczas konferencji poruszone zostaną kwestie bezpieczeństwa energetycznego, obrony cywilnej, a także wyzwań gospodarczych wynikających z dynamicznej sytuacji makroekonomicznej. – To właśnie te tematy stanowić będą główną oś dyskusji w trakcie obrad w Zakopanem – zapowiedział Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego.

Wydarzenie ma być również okazją do wspólnego poszukiwania rozwiązań dla problemów, z którymi mierzą się władze lokalne w całym kraju. – Forum Samorządowe będzie przestrzenią rozmowy o najważniejszych sprawach dla mieszkańców – zaznaczył Łukasz Smółka, marszałek województwa małopolskiego. – Chcemy rozmawiać o zrównoważonym rozwoju, gospodarce, ochronie zdrowia, bezpieczeństwie i odporności na sytuacje kryzysowe.

Zdaniem marszałka wspólne wypracowywanie rozwiązań przynosi realne efekty. Forum w Zakopanem ma sprzyjać wymianie doświadczeń, budowaniu partnerstw regionalnych i współpracy pomiędzy różnymi szczeblami samorządu.

Przestrzeń dialogu i inspiracji

Konferencja poświęcona będzie przede wszystkim zagadnieniom finansowania inwestycji w czasach rosnącego długu publicznego, planowania przestrzennego, rozwoju mieszkalnictwa oraz modernizacji infrastruktury publicznej. Eksperci omówią również sposoby wzmacniania cyberbezpieczeństwa, szczególnie w kontekście ochrony danych i systemów w jednostkach samorządowych – od szkół po sieci wodociągowe.

Nie zabraknie także paneli poświęconych budowaniu atrakcyjności turystycznej i inwestycyjnej regionów, co w przypadku Zakopanego i całej Małopolski ma znaczenie szczególne. Organizatorzy podkreślają, że Forum stanie się miejscem wymiany inspiracji i praktycznych rozwiązań, a także okazją do zaprezentowania potencjału lokalnych samorządów w skali ogólnopolskiej.

Organizatorzy i partnerzy wydarzenia

Forum Samorządowe odbędzie się w dniach 25–26 listopada w hotelu Nosalowy Dwór w Zakopanem. Gospodarzem wydarzenia jest Zakopane, a głównym partnerem Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego. Konferencję organizuje Fundacja Instytut Studiów Wschodnich znana z realizacji Forum Ekonomicznego w Karpaczu oraz Europejskiego Kongresu Samorządów w Mikołajkach.

Więcej informacji, w tym szczegółowy program wydarzenia i formularz rejestracyjny, dostępnych jest na stronie: www.forum-ekonomiczne.pl.

eprasa.pl de96da4d7d

FORUM EKONOMICZNE

MAŁOPOLSKA
GŁÓWNY PARTNER

FORUM SAMORZĄDOWE

25-26 listopada 2025, Zakopane



NOWE WYZWANIA DLA SAMORZĄDÓW

www.forum-ekonomiczne.pl

eprasa.pl de96da4d7d



Proj. K. Karnkowski

Sokoły na rosyjskie drony

Każdemu, kto widział, jak mewy atakują drona – to najczęściej zdarza się nad Bałtykiem – w pamięć zapada przede wszystkim żywiołowa reakcja obserwujących całe zdarzenie. Nie ma wątpliwości, że większość widzów bezspornie trzyma **stronę życia** przeciwko maszynom. Mewa zrzucająca drona nagradzana jest najczęściej oklaskami.

Paweł Pietkun

Reakcja ptaków na nową formę intruza, coś, co z ich perspektywy jest zupełnie obce, stać się może odpowiedzią służb specjalnych oraz władz europejskich lotnisk na coraz poważniejszy problem cywilnych dronów pojawiających się nad portami lotniczymi, co prowadzi do paraliżu lotnisk, odwoływania lotów i przekierowywania samolotów do innych miejsc.

Ataki na lotniska

Choć dronom, które paraliżują lotniska, daleko jest do wojskowych maszyn niosących ładunki wybuchowe – najczęściej to zwykłe czterowirnikowce, te tańsze, bo przecież wiadomo, że każda z maszyn zostanie w końcu strącona i zniszczona albo zajęta przez wojsko pilnujące bezpieczeństwa portu – i tak stanowią jedno z najpoważniejszych zagrożeń dla pasażerskich maszyn latających. Ude-

eprasa.pl de96da4d7d

rzenie w kabinę pilota lub – to najczarniejszy scenariusz – wciągnięcie drona do silnika samolotu odrzutowego musi skończyć się tragedią i prawdopodobną śmiercią załogi i wszystkich lub niemal wszystkich pasażerów samolotu.

Dzisiaj wiadomo również, kto stoi za tymi cywilnymi dronami blokującymi ruch lotniczy niemal w całej Europie. To element rosyjskiej wojny hybrydowej przeciwko niemal wszystkim europejskim państwom, które wsparły Ukrainę po ataku rosyjskiej armii na ten kraj i zapewniały Ukrainie dostawy broni oraz energii.

Ataki są coraz bardziej zuchwałe i sięgają coraz większych portów lotniczych. Na pierwszy ogień idą oczywiście państwa, które stanowią forpocztę we wspieraniu Ukrainy.

Paraliż europejskich portów

Drony i wykorzystywane przez przemytników balony meteorologiczne znad Białorusi na przełomie października i listopada doprowadziły do zamknięcia przestrzeni powietrznej nad Litwą. Tylko pierwszego dnia ataku Litwini zmuszeni byli do zmiany 20 lotów, co dotknęło ponad dwa tysiące pasażerów. Cztery z nich zostały odwołane zupełnie, 12 opóźniono, a cztery kolejne przekierowano na inne lotniska w regionie.

Niespełna dobę później niezidentyfikowane drony zakłóciły na prawie 2 godziny pracę lotniska Berlin Brandenburg. Tu też władze lotniska ratowały się przekierowywaniem nadlatujących samolotów na inne lotniska. Jednak starty wstrzymano na kilka godzin, uprzedzając pasażerów, że być może nie odbędą się wcale. Niemieckie służby po skrupulatnym postępowaniu wskazały źródło ataków: to Moskwa. Podobnie jak Moskwa odpowiadała za drony pojawiające się nad lotniskami – ale także obiektami wojskowymi – w Danii i Norwegii.

Atak kilku cywilnych dronów na lotnisko Zaventem w Brukseli doprowadził do zwołania belgijskiej Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Ruch na lotnisku wstrzymywano dwukrotnie – łącznie anulowano 40 połączeń, w tym 16 odlotów i 24 przyloty.

Wcześniej w październiku podobne incydenty odnotowano m.in. na lotniskach w Kopenhadze, Oslo, Aalborgu i Monachium.

Z powodu dronów zupełnie sparaliżowane na kilka godzin zostało lotnisko Landvetter w szwedzkim Göteborgu, a już na początku listopada serwis Flightradar24 pokazujący wszystkie obecnie odbywające się loty zarejestrował rekordową liczbę odwiedzin.

ZATRUDNIENIE SOKOLNIKÓW TO ROZWIĄZANIE WZGLĘDNIE NOWE WYNIKAJĄCE Z KONIECZNOŚCI ZAPOBIEGANIA TZW. BIRD STRIKE'OM, CZYLI ZDERZENIOM PTAKÓW Z SAMOLOTAMI.

Jak pozbyć się intruza?

Policje i służby wszystkich krajów przez wiele tygodni szukały możliwości poradzenia sobie z problemem przy pomocy rozwiązań technicznych, do których dostęp mają przede wszystkim służby specjalne. Chodzi o specjalne urządzenia do przejmowania obcych dronów, natychmiast dostrajające swój sygnał do wrogiej maszyny i przejmujące nad nią kontrolę. Drona sprowadza się wówczas na ziemię lub po prostu zrzuca.

Zwykle robi się to drugie, bo do zatrzymania ruchu lotniczego wystarczy półprofesjonalny dron dostępny dzisiaj w Polsce za jedyne 500–700 złotych – ma baterie starczające na maksymalnie 20 minut lotu, dwie kamery – z przodu i na dole urządzenia – oraz połączenie GSM z telefonem i średniej klasy odbiornik sygnału GPS.

Z perspektywy wrogich służb, które chciałyby zdestabilizować pracę europejskiego lotniska, to żaden wydatek i żadna strata w przypadku przejęcia. Dron nie zawiera żadnych danych poza anteną nadającą sygnał do telefonu pilota bezzałogowca, którą można w każdej chwili po prostu usunąć ze swojego urządzenia, podobnie jak usuwa się bezprzewodową sieć internetową, z której już nie będziemy korzystać.

Jednak ilość i sposoby przeprowadzania ataków pokazują, że to rozwiązanie daleko niewystarczające, ponieważ jeżeli nad lotniskiem pojawiłoby się nie kilka, ale kilkanaście dronów, służby mogą okazać się bezradne. Wyjściem okazali się dawni i cisi mieszkańcy europejskich (i nie tylko) lotnisk, czyli sokolnicy ze swoimi świetnie wyszkolonymi ptakami dotychczas wykorzystywanymi przy utrzymaniu bezpieczeństwa lotnisk, jednak przede wszystkim przeciwko gołębiom, wronom, myszołowom czy stadom szpaków.

Zatrudnienie sokolników to rozwiązanie względnie nowe wynikające z konieczności zapobiegania tzw. bird strike'om, czyli zderzeniom ptaków z samolotami lub uszkadzaniem przez nie silników, co doprowadziło do wielu tragicznych katastrof.

eprasa.pl de96da4d7d

Już sama obecność wypuszczonego co jakiś czas drapieżnika odstrasza zagrażające lotom ptaki. Polowanie na nie jest ostatecznością, przed którą szkolone przez sokolników drapieżniki (to nie zawsze są wyłącznie sokoły – równie chętnie lotniska zatrudniają jastrzębie i rarogi) wcale się nie bronią. W końcu dla nich to darmowy, dodatkowy posiłek.

Dyskretni ochroniarze

Obrońcy bezpieczeństwa pasażerów samolotów zwykle są niewidoczni z okien terminali. Stąd zaskoczeniem jest, kiedy dowiedzą się, że z usług sokolników korzystają największe polskie lotniska – tylko nad warszawskim Okęciem swoje dyżury pełni kilkanaście sokołów. Podobnie drapieżne ptaki czuwają nad lotniskami w Krakowie-Balicach, Katowicach, Poznaniu, Gdańsku czy w Łodzi.

Sokolników można spotkać zresztą na wielu europejskich lotniskach. Ci z londyńskiego Heathrow pracują z jastrzębiami Harrisa, podobnie jak sokolnicy z Neapolu czy Bratysławy. Chorwaci do patrolowania lotnisk wybrali rarogi, lotniska w V Republice zaś pilnowane są przez sokolników zajmujących się wszystkimi gatunkami skrzydlatych drapieżników.

Europejskim sokolnikom dojdzie już niedługo kolejny obowiązek. Chodzi o pilnowanie lotnisk przed... dronami. Dronami, których drapieżniki wyjątkowo nie lubią, i które – to już zostało sprawdzone podczas pierwszych ćwiczeń – z polowania na drona zawsze wychodzą zwycięsko.

Dlaczego?

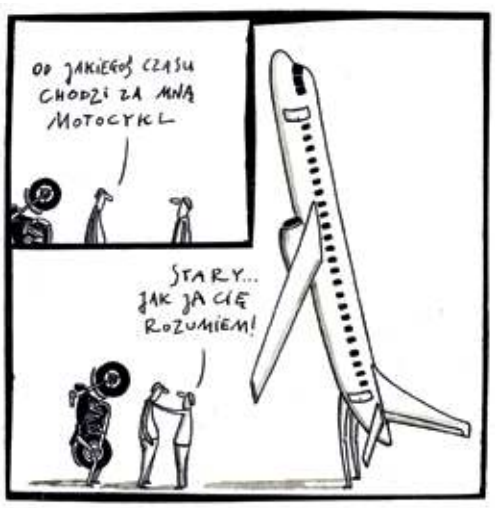
Ptaki postrzegają nawet duże wielowirnikowce jako intruza na swoim terytorium, a nierzadko jako potencjalną zdobycz. Dron zresztą jest nie tylko intruzem, ale przede wszystkim intruzem, którego ptaki jeszcze się nie nauczyły. Większość gatunków zwierzęcych asów przestworzy ma „wdrukowane" w instynkt sylwetki ptaków innych gatunków. To dlatego już z daleka wiedzą, czy będą miały do czynienia z ofiarą, czy przeciwnikiem, który podejmie walkę. Tę ptasią umiejętność nauczyli się wykorzystywać budowniczy autostrad, barier ochronnych i oszklonych drapaczy chmur – naklejane na szyby sylwetki ptaków drapieżnych (czyli ptaków z krótką szyją i szerokimi skrzydłami) ratują życie innym ptakom, które omijają takie sylwetki z daleka, dzięki czemu nie rozbijają się w locie o szyby.

PTAKI POSTRZEGAJĄ NAWET DUŻE WIELOWIRNIKOWCE JAKO INTRUZA NA SWOIM TERYTORIUM, A NIERZADKO JAKO POTENCJALNĄ ZDOBYCZ.

Pierwsze testy już trwają

Po pierwszych testach okazało się, że drapieżniki pilnujące lotnisk świetnie odnajdują się również jako straż dbająca o ograniczenie zagrożenia, jakie niosą drony. Atakują błyskawicznie, celując w taki sposób, żeby nie dać się skaleczyć przez twarde śmigła. Są szybsze od pilotów dronów – ludzkie reakcje są dla sokołów i jastrzębi zdecydowanie zbyt wolne. I – to najważniejsze – nie wiedząc, z jakim intruzem mają do czynienia, atakują tylko tak, żeby zabić, a nie odstraszyć. Europejskie porty lotnicze jeszcze w tym roku mają przedstawić swoim sokolnikom nowe zakresy zadań i podnieść ich wynagrodzenia. Bo skuteczne polowanie na wrogie drony będzie wymagało dodatkowych treningów. Wiedzą o tym siły zbrojne m.in. Holandii i Francji, które już od roku szkolą orły i sokoły do przechwytywania i neutralizowania niepożądanych dronów w kontrolowany sposób. Choć do tej pory szkoliły je jedynie w warunkach polowych. S

CZTERDZIESTKA MICHALSKI



eprasa.pl de96da4d7d

Rzeczypospolita Polska dziękuje Waldemarowi Łysiakowi

Zabolał nasz rodzimy Salon Order Orła Białego dla Waldemara Łysiaka. Krzyczą, tupią nóżkami w klawiatury i plują na monitory, ponieważ **nie mogą się z tym pogodzić**. Nie będę cytował tych internetowych obszczymurków ani z nimi polemizował, bo nie ma to sensu. Zresztą znam kodeks Boziewicza, a on wykluczał pojedynkowanie się m.in. z oszczercami, osobami piszącymi anonimy i paszkwilantami.

Sebastian Reńca



Fot. Grzegorz Jakubowski / KPRP

Mierżą mnie bowiem w większości anonimowi cwaniacy, którzy swoje cenne myśli potrafią tylko upstrzyć wulgaryzmami. Mierżą mnie również internetowe „autorytety", niejednokrotnie z naukowymi tytułami, których książek w większości nie da się czytać, dlatego że pisane są paskudną, bełkotliwą polszczyzną, upstrzoną tym razem mądrymi słowami wyjętymi wprost ze słownika Kopalińskiego. Im ich więcej, tym lepiej. Tacy to erudyci. Twórcy mądrości będących w istocie farmazonami.

eprasa.pl de96da4d7d

Przy okazji jednej z rozmów pan Waldemar Łysiak powiedział mi kilka lat temu:

– Na temat każdej publicznej osoby toczą się w internecie jakieś dzikie spory. Jedni wylewają tam z nocników kubły pomyj na głowę danej osoby, inni jej bronią. Mnie to nie interesuje. W ogóle nie wchodzę w te sprawy. Ileś lat temu, nie wiem, może dziesięć, syn, a potem przyjaciele przynieśli mi wydruki tych walk o mnie. Naczytałem się i w sumie uznałem, że to jest wszystko bezsensowne. Internet jest ściekiem, w którym każdy może napisać, co chce. Na przykład, że jestem facetem z Marsa i mam trzy nogi, albo że wczoraj zabiłem 80-letnią staruszkę w zaułku na Żoliborzu. W sieci można napisać, co się chce.

Miał rację wielki pisarz i kawaler Orderu Orła Białego.

Wzór intelektualnej suwerenności

Uroczystość odbyła się w Pałacu Prezydenckim 11 listopada – w dniu Narodowego Święta Niepodległości. Prezydent Karol Nawrocki uhonorował Orderem Orła Białego pisarza Waldemara Łysiaka oraz dziennikarza Andrzeja Poczobuta, więźnia politycznego na Białorusi.

– Miałem wielki zaszczyt w imieniu Rzeczypospolitej wręczyć to wyjątkowe odznaczenie, ten order panu Waldemarowi Łysiakowi, który przez kolejne dekady stał się wzorem intelektualnej suwerenności, intelektualnego zmysłu pomimo często dominującej większości, a także intelektualnej niezależności w obliczu krzykliwej, czasami agresywnej i dominującej w pewnych momentach mniejszości. Za to chciałem serdecznie panu Waldemarowi Łysiakowi podziękować, że jest od wielu pokoleń i dla wielu pokoleń wzorem intelektualnej niezależności, niezależnie od zmieniających się czasów. To, co dał mojemu pokoleniu Pan Waldemar Łysiak, to też wielka miłość do historii, nie tylko do epoki napoleońskiej... – mówił w czasie uroczystości prezydent Karol Nawrocki.

Podzielam zdanie prezydenta Rzeczypospolitej i podpisuję się pod nim.

Waldemar Łysiak już ponad pół wieku zachwyca swych czytelników kunsztem pisarskim. Jest mistrzem w tym, co robi. Wszystkie jego książki, a wydał ich ponad 60, są wyjątkowe. Zarówno powieści, jak i zbiory opowiadań, esejów czy publicystyki. Zachwyca od lat rzesze czytelników, w odróżnieniu od kapituł różnych nagród literackich. Od rodzimych poczynając – Nagroda Literacka im. Józefa Mackiewicza, po światowe – Literacka Nagroda Nobla. Moim zdaniem pisarz zasługuje zarówno na jedną, jak i drugą. W przypadku tej pierwszej tylko raz kapituła nominowała książkę pisarza „Rzeczpospolita kłamców. Salon", co wydarzyło się równo 20 lat temu.

Waldemar Łysiak jeden jedyny raz został uhonorowany nagrodą literacką. Jego powieść „Kolebka" została nagrodzona w konkursie z okazji 50-lecia Związku Literatów Polskich i dlatego ukazała się w roku 1974, choć pisarz nigdy nie należał do ZLP. Tym samym był to debiut Łysiaka. Jeszcze w tym samym roku opublikowano zbiór jego włoskich esejów zatytułowany „Wyspy zaczarowane". Wtedy Łysiak po raz pierwszy oczarował swoich czytelników. Nikt wcześniej tak nie pisał esejów jak on: poeta, reporter, beletrysta, historyk, eseista. Już wtedy zachwycał od pierwszych stron i rozdziałów. Jego książki od razu stawały się bestsellerami, które w księgarniach sprzedawano spod lady. Później polowało się na nie w antykwariatach, a zaraz na początku przemian, które nastąpiły po 1989 r., Łysiaka można było kupić u bukinistów sprzedających książki wystawione na łóżkach polowych. Sam tak kupiłem pierwsze wydanie „Statku" w roku 1994, będąc wagarującym uczniem technikum mechanicznego.

NIKT WCZEŚNIEJ TAK NIE PISAŁ ESEJÓW JAK ON: POETA, REPORTER, BELETRYSTA, HISTORYK, ESEISTA.

Rzec można, że swego rodzaju nagrodą dla Waldemara Łysiaka, w cztery lata po jego debiucie pisarskim, był protest ambasady Związku Sowieckiego wystosowany do rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przeciwko napoleońskiej książce „Cesarski poker". Ani wcześniej, ani później Sowieci nie oprotestowali w ten sposób żadnej innej książki. O co poszło? O to, co Łysiak pisał o rosyjskim marszałku Aleksandrze Suworowie oraz, że zakwestionował i skompromitował marksistowską historiografię.

Tych napoleońskich książek Łysiaka jest wiele, ale mnie brakuje tej jednej – biografii Napoleona. Dlaczego? Ponieważ Waldemar Łysiak gdyby taką napisał, to książka byłaby z pewnością do czytania, a nie do postawienia na półce, by do niej zajrzeć w poszukiwaniu jakiegoś fragmentu. Pisarz po prostu nie nudzi. Nigdy tego nie robił. W żadnej ze swoich książek, a znam wszystkie.

eprasa.pl de96da4d7d

Z pewnością nagrodą, choć nie stricte literacką, było uhonorowanie pisarza przez „Tygodnik Solidarność”, na którego łamach Waldemar Łysiak wielokrotnie gościł ze swoimi tekstami, tytułem „Człowieka Roku”, co wydarzyło się ćwierć wieku temu. Redakcja nagrodziła w ten sposób pisarza za ośmiotomowe „Malarstwo białego człowieka”, „Stulecie kłamców” oraz odnalezienie pierwodruku „Trenów” Jana Kochanowskiego.

Zresztą to był czas, kiedy i ja odkrywałem „Tygodnik Solidarność”, w którym „pojedynkował się” Waldemar Łysiak z ówczesnym redaktorem naczelnym Andrzejem Gelbergiem np. o zasadność kary śmierci dla morderców czy o ocenę filmu „Popiół i diament” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Dziś oba te teksty można m.in. odnaleźć w zbiorach publicystyki pisarza zatytułowanych „Łysiak na łamach”.

Prozaik poeta

W przypadku beletrystyki Waldemara Łysiaka jego styl nazywam poezją pisaną prozą. Każda z powieści pisarza jest wyjątkowa. „Statek”, „Dobry”, „Kielich”, „Flet z mandragory” i wiele, wiele innych. O tej ostatniej wspominał prezydent Rzeczypospolitej podczas uroczystości w Święto Niepodległości:

– Za ten tak wartościowy i ważny wpływ na życie kolejnych pokoleń Polaków Rzeczpospolita dzisiaj Panu bardzo dziękuje. Ten kunszt, z którym Waldemar Łysiak opisywał istotę systemu totalitarnego, choćby we „Flecie z mandragory”, mówiąc o tym wprost, choć tak, aby władza komunistyczna miała intelektualne wyzwanie, pozostanie to zawsze z nami. Polska dziękuje Panu za sprawą Orderu Orła Białego za wszystko, co jako publicysta, autor książek, wielki erudyta, znawca sztuki i kultury zrobił pan, panie Waldemarze, dla Rzeczypospolitej Polskiej.

Peerelowska cenzura nie raz, nie dwa puściła coś, czego nie powinna, według swych wewnętrznych wytycznych, sprytnie oszukana przez pisarza. Tak było chociażby właśnie z „Fletem z mandragory”, który pod płaszczykiem onirycznej powieści dziejącej się w nieokreślonym miejscu i czasie, był wtedy – w latach 80. – opowieścią o tym, czym jest totalitarne państwo, a takim była przecież PRL zależna od ZSRS. Powieść napisał antykomunista, który nim został jak każdy, „kto dowiedział się, że komuniści swym przymusowym rozmówcom kradną paznokcie podczas dialogu, a głos odbierają ludziom, przestrzeliwując im język od strony potylicy lub zamrażając go w lodówkach Gułagu...” – pisał Łysiak w „Lepszym”, książce o swoich zmaganiach z cenzurą.

„TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ”, NA KTÓREGO ŁAMACH WALDEMAR ŁYSIAK WIELOKROTNIE GOŚCIŁ ZE SWOIMI TEKSTAMI, UHONOROWAŁ PISARZA TYTUŁEM „CZŁOWIEKA ROKU 2000”.

Wielka trójka

Mam nieodparte wrażenie, że prezydent Karol Nawrocki (jesteśmy mniej więcej z tego samego pokolenia) ceni sobie tych samych pisarzy, co ja. Dowodem na to jest niedawne sprowadzenie szczątków Sergiusza Piaseckiego do Polski, a teraz Order Orła Białego dla Waldemara Łysiaka. W moim prywatnym rankingu właśnie ten pisarz otwiera podium jako największy literat XX i XXI wieku. Choć on sam mówi o sobie, że żyje w wieku XIX.

Przypuszczam, że żaden inny prezydent RP nawet nie pomyślał o tym, co zrobił Karol Nawrocki. Mam również przeczucie, że prezydent Rzeczypospolitej w jakiś sposób uhonoruje jeszcze jednego wielkiego polskiego pisarza – Józefa Mackiewicza. Salon znów wtedy zawyje, wszak był to nie tylko pisarz, ale również – według jego adwersarzy – „zoologiczny antykomunista”.

Dlaczego Waldemar Łysiak, to dla mnie najważniejszy pisarz? Nie ze względu na to, że napisał tyle książek, ale dlatego, iż w tych książkach potrafi żonglować różnymi stylami, używając przy tym pięknej polszczyzny. Mieszać nimi niczym alchemik różnymi mikstu rami w swojej pracowni, a efekt jest wybuchowy, wyjątkowy i niepowtarzalny. Nikt tak jak on tego nie potrafi.

Książki Waldemara Łysiaka są kopalniami trafnych spostrzeżeń, cennych opinii, pięknych i poetyckich fraz. Można by ich cytować bez liku. Mam wiele tych ulubionych i zapamiętanych aforyzmów, jeden z nich pochodzi z „Wysp bezludnych” i brzmi: „Nie ma bezinteresownych uczynków i uczuć, nie ma prawdy, przyjaźni i wierności, nie istnieją idee bez skazy i przysięgi bez pułapek, jest tylko zgorzknienie, które odkłada się we krwi, niczym słoje trującego drzewa”.

eprasa.pl de96da4d7d

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Żeby już nigdy nie trzeba było odzyskiwać...

Zdzisław Krasnodębski

Minęła kolejna rocznica odzyskania niepodległości. Nie brakowało patriotycznych symboli i uroczystości. Ulicami Warszawy przeszedł kolejny Marsz Niepodległości.

W dniu odzyskania niepodległości nie sposób jednak nie myśleć o jej utracie, bez której nie trzeba byłoby 123 lat wysiłków, by ją odzyskać. Rzeczpospolitą straciliśmy przez nieuwagę, wygodę i głupotę. Polacy nie rozumieli, co się obok nich dzieje, nie byli gotowi zrezygnować ze swoich przywilejów, pogrążali się w swarach, nie cenili swego państwa. Gdy wreszcie spostrzegli, co mogą utracić, było już – w tej sytuacji geopolitycznej – za późno. Reformy nie były już w stanie uratować państwa, jedynie przyspieszyły agresję zaborców. Nasza zbrojna obrona była słaba i miałka, bez walecznego ducha. Można wręcz powiedzieć, że brak oporu stanowił jedną z najbardziej charakterystycznych cech upadku Rzeczpospolitej. To pozwalało zaborcom twierdzić, że Polska przestała istnieć sama z siebie, zmarła śmiercią naturalną. Niestety argument wydawał się wiarygodny.

Pierwszy rozbiór Polski w ogóle nie spotkał się z jakąkolwiek militarną reakcją państwa polskiego. Także w 1792 roku Polacy nie wykazali się wolą walki. Jak pisał amerykański historyk Robert Howard Lord: „Wojna polsko-rosyjska była doprawdy żałosnym widowiskiem. Cóż można sądzić o narodzie, który zmuszony do podjęcia walki w obronie własnej niepodległości, a nawet samego istnienia, ulega w ciągu dwóch miesięcy zaledwie stutysięcznej armii nieprzyjaciela". Rozbiory zostały zaakceptowane przez Polaków – polski Sejm i polskiego króla. Sejm zatwierdzał rozbiory, król potulnie abdykował i udał się do Petersburga na garnuszek carycy. Polacy zalegalizowali nowy porządek. Jak pisał Piotr Żbikowski, wybitny znawca literatury tej epoki: „Każdy z zaborców występował oficjalnie jako legalny i prawowity władca swoich nowych poddanych, rozpoczynając panowanie nie w wyniku zbrojnej agresji i opanowania siłą obcego państwa, lecz po formalnej abdykacji poprzedniego króla Polski i pokojowego objęcia ziem, które rzekomo kiedyś już do niego należały i które obecnie ponownie obejmuje we władanie na zasadzie pokojowej inkorporacji". W pamiętnikach Jędrzeja Kitowicza znajdujemy opisy niejednego homagium, w którym Polacy potulnie składali hołd nowym władcom. Dowiadujemy się z nich, jak warszawiacy przyjmowali Moskali po upadku powstania kościuszkowskiego: „Moskale weszli do Warszawy ze zdobyczą, czyli rabunkiem niezmiernym całej Polski i Litwy [...] wnieśli do niej świeży rabunek nieszczęśliwej Pragi; będąc narodem żarłocznym i hulaszczym, tak jak i Polacy, dzielili te wszystkie zdobycze z kupcami, rzemieślnikami, piekarzami, rybakami, rzeźnikami, muzykantami, komediantami, niewiastami publicznymi i innymi osobami do zbytku, marnotrawstwa i rozpusty służącymi, które to pożytki z Moskalów ciągnione i wysysane wybiły im wprędce z głowy okrucieństwa w całym kraju i na ostatniej Pradze spełnione; usiadła w sercach

RZECZPOSPOLITĄ STRACILIŚMY PRZEZ NIEUWAGĘ, WYGODĘ I GŁUPOTĘ. POLACY NIE BYLI GOTOWI ZREZYGNOWAĆ ZE SWOICH PRZYWILEJÓW, NIE CENILI SWEGO PAŃSTWA.

eprasa.pl de96da4d7d

własnego dobra chciwych przyjaźń i przywiązanie do Moskali".

Obecnie nawet otwarci na nowe doświadczenia neowarszawiacy z Miasteczka Wilanów woleliby uniknąć wejścia Rosjan. Świadomość, że trzeba się bronić przed agresją Rosji, to jeden z nielicznych już elementów łączących w Polsce niemal wszystkie obozy polityczne i wszystkich Polaków. Jednak po ostatnich nalotach dronów można być sceptycznym, czy jesteśmy militarnie przygotowani na ewentualny atak. Jeszcze więcej wątpliwości można mieć co do odporności mentalnej.

NAWET OTWARCI NA NOWE DOŚWIADCZENIA NEOWARSZAWIACY Z MIASTECZKA WILANÓW WOLELIBY UNIKNĄĆ WEJŚCIA ROSJAN.

Grożą nam nie tylko krwawi barbarzyńcy na rubieżach. Zmienia się również sytuacja w Europie i Europy. Nowe centrum władzy wzmacnia wpływy w Polsce. Jego podstawą są ciągle jeszcze państwa europejskie, ale w stosunku do państw poszczególnych, zwłaszcza tych słabszych, stało się instancją nadrzędną (z jednym ciągle wyjątkiem – kwestii militarnych). Nawet Niemcy, które mają w UE wpływy największe, muszą się z nią liczyć. To Bruksela podejmuje ramowe decyzje, z jakich źródeł energii możemy korzystać, jaką politykę imigracyjną mamy prowadzić, jakie nas obowiązują umowy handlowe z pozaunijnymi krajami, a także – co jest w Polsce sądem i kto jest sędzią, jak należy interpretować konstytucję itd. Jak długo podejmowane przez instytucje unijne decyzje były dla nas korzystne, lekceważono tę rosnącą władzę. Zwiększająca się podległość nas nie interesowała, dopóki nowy pan był dobry – najważniejsze były fundusze, zgodnie z pańszczyźnianą filozofią „wyciskania brukselki". Dopiero niedawno do świadomości Polaków zaczęło docierać, że utraciliśmy znaczną część naszej wolności narodowej. Ciągle jeszcze wielu Polaków myśli w kategoriach dawnej polityki i sądzi, że niekorzystne dla nas decyzje można po prostu odrzucić lub zignorować, że pakt migracyjny czy pakt klimatyczny mają status umowy międzynarodowej, którą można zerwać, że są układami, z których możemy wyjść. Tymczasem istnieje tylko prawna możliwość wyjścia z UE. Jeśli w niej pozostaniemy, to albo zyskamy realny wpływ na jej decyzje, zdobędziemy znaczną część władzy w Brukseli, albo nasza suwerenność stanie się fikcją, pustą formułą, folklorem patriotycznym.

JAK DŁUGO PODEJMOWANE PRZEZ INSTYTUCJE UNIJNE DECYZJE BYŁY DLA NAS KORZYSTNE, LEKCEWAŻONO ICH ROSNĄCĄ WŁADZĘ.

Problem będzie narastał, gdyż nic nie wskazuje na to, że Bruksela zamierza uwzględniać żywotne polskie interesy, jeśli nie będą zgodne z interesami „europejskimi", które nie przez nas są definiowane, lecz przez tych, którzy mają w Brukseli władzę.

W 2009 roku prezydent Lech Kaczyński ostrzegał: „Kończy się czas, gdy mogliśmy liczyć na pomoc innych. Coraz częściej będziemy musieli radzić sobie sami, ale też pomagać innym tak, jak nam pomagano. Właśnie dlatego musimy projektować Polskę taką, jaką powinna być za dekadę, dwie lub trzy. Musi być to projekt podmiotowy, dalekosiężny i odważny. Poddany obywatelskiej debacie. Realizowany przez silne centrum decyzyjne, przez ludzi samodzielnie myślących, posiadających wizję, bezwarunkowo oddanych dobru państwa i współobywateli. Poparty przez społeczeństwo. Wdrażany przez ludzi gotowych poświęcić własne ambicje nadrzędnemu celowi. Bez wahania gotowych podjąć ryzyko wzięcia odpowiedzialności za ważne i niezbędne, acz trudne projekty".

W słowach tkwiło tak żywe wówczas przekonanie, że inni nam pomagają. Dzisiaj wiemy, że ci inni także ostro z nami rywalizują, że nasze i ich interesy bywają sprzeczne i że oni są gotowi zignorować nas, by realizować swoje cele. Silne centrum decyzyjne ludzi samodzielnie myślących, gotowych poświęcić własne ambicje nadrzędnemu celowi, o którym mówił Lech Kaczyński, nie powstało. Polska Anno Domini 2025 politycznie coraz bardziej przypomina raczej podporządkowaną UE satrapię, w której rosnący wewnętrzny ucisk łączy uległością wobec zewnętrznych władz zwierzchnich, przykrywaną nieudolną propagandą sukcesu.

eprasa.pl de96da4d7d

Zagranica

Erika Kirk WYKOŃCZY ruch MAGA?

„Ameryka też się sypie, to osobny rozdział/ Bill Clinton palił trawę, ale się nie zaciągał” – śpiewał Kazik już dekady temu. I od tamtej pory niewiele się chyba zmieniło, Ameryka się sypie, ale trwa, a Bill Clinton pewnie nadal pali trawę. Sypie się chyba także niestety ruch MAGA, który był nadzieją dla Amerykanów **na powrót do względnej normalności**.

Agnieszka Żurek



Erika Kirk i J.D. Vance na wiecu zorganizowanym przez Turning Point USA na Uniwersytecie w Missisipi

Fot. Jonathan Ernst / Reuters / Forum

eprasa.pl de96da4d7d

Ruch MAGA (Make America Great Again) stanowił zaplecze Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich i faktycznie zapewnił mu zwycięstwo.

America First?

Trump szedł po władzę z hasłem: „America First", deklarował zakończenie wojen (w tym tej na Ukrainie – tu obiecywał nawet zażegnanie konfliktu w 24 godziny), położenie kresu nielegalnej imigracji, rozliczenie afer – w tym tej najsłynniejszej dotyczącej Jeffreya Epsteina, zapewniał, że rozliczy odpowiedzialnych za dramaty związane z niepotrzebnymi obostrzeniami pandemicznymi, deklarował położenie kresu ekspansji ideologii LGTBQ etc.

Co z tego zostało? Niestety, nie za wiele. Amerykanie sympatyzujący z ruchem MAGA zarzucają Trumpowi, że nie tylko nie doprowadził do zakończenia wojen, ale także rozognił konflikt na Bliskim Wschodzie. Wynegocjonowane przez niego zawieszenie broni uważają za iluzoryczne, a stopień uwikłania Stanów Zjednoczonych w militarną i polityczną ochronę interesów Beniamina Netanjahu kazał części komentatorów zmienić nazwę ruchu MAGA na ruch MIGA (Make Israel Great Again).

Punktem zwrotnym dla zaplecza Trumpa stała się sytuacja związana z konserwatywną organizacją o nazwie – nomem omen – Turning Point USA (Punt Zwrotny USA) i publicznym zabójstwem jej młodego lidera Charliego Kirka. Z początku przedstawiano tę zbrodnię jako akt szaleństwa samotnego, tęczowego wilka – 22-letniego Tylera Robinsona. Miał on rzekomo nienawidzić Kirka z powodu jego konserwatyzmu i walki z ideologią gender. Szybko jednak okazało się, że w oficjalnej narracji w sprawie tego morderstwa nie zgadza się właściwie nic – począwszy od rzekomo użytego przez Robinsona kalibru pocisku, który zdaniem wypowiadających się publicznie emerytowanych funkcjonariuszy służb specjalnych byłby w stanie rozwalić na kawałki nie tylko młodego mężczyznę, ale i łosia. Tymczasem pocisk nie tylko nie odstrzelił Charliemu głowy, ale nawet nie spowodował rany wylotowej – tłumaczono to tym, że młode kości Kirka były tak gęste, że zatrzymały kulę wewnątrz ciała. Nieścisłości w tej sprawie jest o wiele więcej i co rusz pojawiają się kolejne. Agentom federalnym nie wierzy w tej kwestii już prawie nikt, a niezależne śledztwo dziennikarskie prowadzi przyjaciółka Charliego – Candace Owens. Zadeklarowała ona publicznie, że dopóki rząd nie wyjaśni w rzetelny sposób tej sprawy, nie zamierza ona tracić ani chwili na działania na rzecz ruchu MAGA – którego była kiedyś, wspólnie z Charliem, jednym z filarów. Wyraziła także zdziwienie tym, że tak mało niegdysiejszych „przyjaciół" Kirka, na czele z Donaldem Trumpem, dąży do wyjaśnienia prawdy o okolicznościach jego śmierci, a tak wielu staje w wyścigu po polityczną schedę po aktywiście.

J.D. + E.K. = WNM (Wielka Nieskończona Miłość)?

To nie jedyne kłopoty ruchu MAGA. Oliwy do ognia dolała sama wdowa po Charliem Erika Kirk. „Każdy przeżywa żałobę inaczej" – mówili konserwatyści przez pierwsze dwa tygodnie, próbując tłumaczyć jej dziwaczne zachowania. Po „inbie" z J.D. Vance'em już nie próbują udawać ślepych. Candace Owens milczy wprawdzie w sprawie Eriki dyplomatycznie, jednak inni komentatorzy nie zostawiają na niej suchej nitki. W zniesmaczeniu zachowaniem Eriki zjednoczyli się Republikanie i Demokraci. Wielu obstawia, że tak jak J.D. Vance rozpoczął starania o prezydenturę w roku 2028, tak Erika rozpoczęła starania o J.D. Vance'a. A on nie pozostaje na te zabiegi obojętny. „Wesoła wdówka", która zaraz po śmierci Charliego objęła szefostwo w prowadzonej wcześniej przez niego organizacji, najpierw wystąpiła u boku Donalda Trumpa na uroczystości, która miała w teorii upamiętnić Charliego Kirka, w praktyce jednak przypominała jednak wiec polityczny zorganizowany z rozmachem i fajerwerkami – i to dosłownie. Kilka dni po śmierci męża Erika przemawiała na wiecu przez pół godziny, skupiając się na kwestii zapewnienia kontynuacji działania organizacji Turning Point USA, a następnie rozpoczęła tour po mediach, gdzie – nie dało się już tego nie zauważać – po prostu promieniała, śmiała się, błyszczała i tryskała energią.

„HINDUSKA ŻONA VANCE'A STANOWI DLA NIEGO OBCIĄŻENIE W JEGO KARIERZE POLITYCZNEJ" – UWAŻA LEWICOWY DZIENNIKARZ DAVID PAKMAN.

Najwytrwalsi zwolennicy teorii, że „każdy przeżywa żałobę inaczej", próbowali to tłumaczyć jej niezłomną wiarą w życie wieczne i pewnością, że Charlie nadal jej towarzyszy, tyle że już z zaświatów. Kiedy jednak nadszedł słynny już wiec zorganizowany przez Turning Point USA na Uniwersytecie w Missisipi, na którym Erika wystąpiła wspólnie z wiceprezydentem J.D. Vance'em, zamilkli już nawet najwytrwalsi obrońcy. – Nikt nigdy nie zastąpi mojego męża. Ale widzę pewne podobieństwa między moim mężem a J.D. Naprawdę. I dlatego czuję się tak szczęśli-

eprasa.pl de96da4d7d

wa, że mogę go dziś wieczorem zaprosić [na scenę – przyp. aut.] – powiedziała głosem Marilyn Monroe śpiewającej „Happy birthday, Mr. President" tradycyjnie już promieniejąca „wesoła wdówka" ubrana w błyszczące, obcisłe, czarne skórzane spodnie.

Kiedy na scenie pojawił się J.D., wymienili z Eriką „rozwodowy" uścisk, kiedy to wdowa po Charliem Kirku położyła dłoń na włosach wiceprezydenta, a on z kolei objął jej plecy, przesuwając następnie ręce w kierunku jej bioder. Potem zrobiło się jeszcze dziwniej. J.D. na zadane z sali pytanie o to, czy nie przeszkadza mu, że jego żona Usha jest innego wyznania niż on, odpowiedział, że postanowili wychowywać dzieci w wierze katolickiej i że owszem, chciałby, żeby przyjęła ją także jego żona, ale jeśli się na to nie zdecyduje, to przecież Bóg mówi, że każdy z nas jest wolnym człowiekiem. Zabrzmiało to dość zimno i obcesowo, a niektórzy zaczęli się w tej wypowiedzi dopatrywać nawet zapowiedzi rozwodu Vance'a z Ushą. Nietrudno domyślić się ewentualnych politycznych konsekwencji tego kroku, zwłaszcza wśród społeczności imigrantów.

JEŚLI RUCH MAGA STRACI WIARYGODNOŚĆ – A JEST NA JAK NAJLEPSZEJ DO TEGO DRODZE – RĘCE MOGĄ ZACIERAĆ NIE TYLKO DEMOKRACI, ALE I POLITYCZNI RADYKAŁOWIE, TYM RAZEM Z LEWICOWEJ FLANKI.

Usha z wozu, Vance'owi lżej?

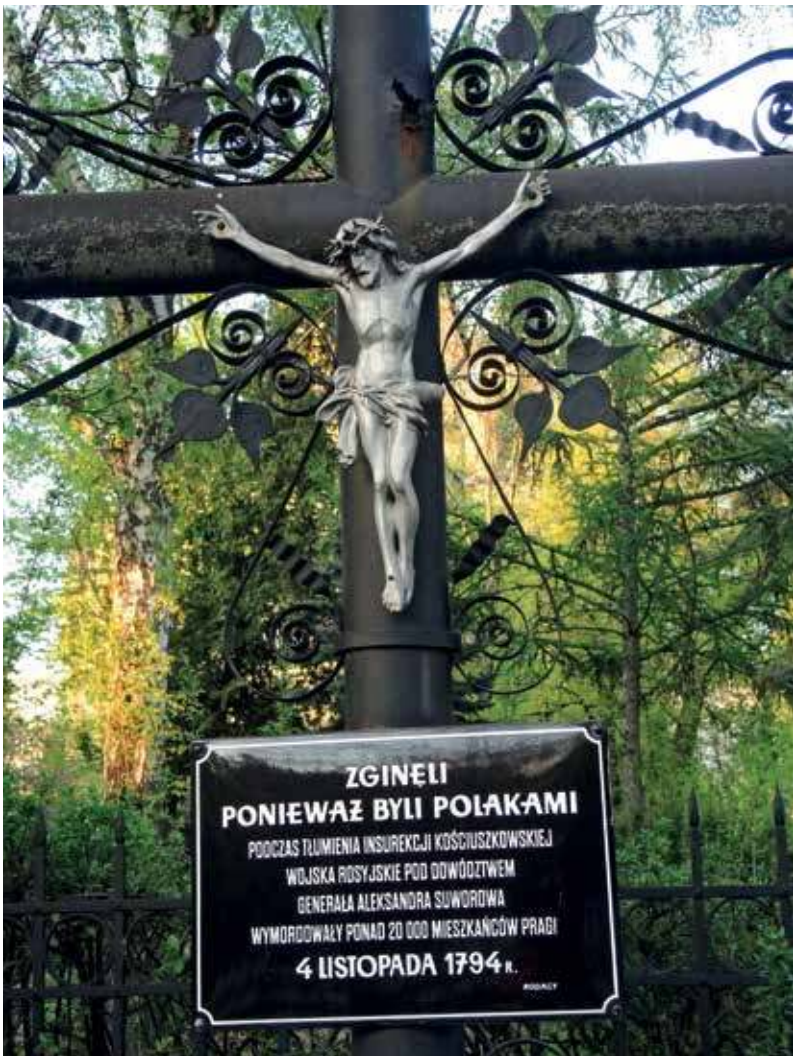
– Hinduska żona Vance'a stanowi dla niego obciążenie w jego karierze politycznej – uważa lewicowy dziennikarz David Pakman. – Zaplecze ruchu MAGA będzie się domagać od niego spójności ideologicznej i jeśli będzie chciał wystartować w wyborach prezydenckich w 2028 roku – a nie ukrywa, że tego chce – będzie musiał skłonić Ushę do przejścia na katolicyzm albo się z nią rozstać – stwierdza komentator. Tiktokowy kanał Digital Social Hour (i wiele innych) zadaje także ciekawe pytania o polityczny rodowód Eriki, która wywodzi się z rodziny o licznych powiązaniach z amerykańskim wywiadem wojskowym. Internauci zwracają także uwagę na to, że Erika znała Donalda Trumpa na długo przedtem, zanim poznała Charliego Kirka, i że już w 2012 roku zwyciężyła w organizowanym przez niego konkursie piękności, otrzymując wówczas koronę Miss stanu Arizona.

Po wiecu Turnig Point USA z udziałem J.D. Vance'a sieć zalały filmiki, na których jego żona wygląda na zmęczoną i nieszczęśliwą. Oczywiście może to nic nie znaczyć, każdemu przecież da się zrobić zdjęcie na poparcie dowolnej tezy, ale w Stanach Zjednoczonych, w których polityka stanowi wielkie show, nie może to przejść bez echa. Dodatkowo ze smutną twarzą Ushy jaskrawo kontrastuje promienne i rumiane lico Eriki. Co będzie dalej? Show must go on. Oglądałoby się to jak wciągający serial w rodzaju „Gry o tron", jest to jednak rzeczywistość polityczna największego światowego mocarstwa. Jeśli ruch MAGA straci wiarygodność – a jest na jak najlepszej do tego drodze – ręce mogą zacierać nie tylko Demokraci, ale i polityczni radykałowie, tym razem z lewicowej flanki. Zwiastunem tych zmian jest wygrana w wyborach na burmistrza Nowego Jorku Zohrana Mamdaniego, który łączy w sobie chyba wszystko to, z czym walczył ruch MAGA – skrajną lewicowość, poglądy komunistyczne, wyznawanie islamu, proaborcyjność oraz pełne wsparcie dla operacji zmiany płci dla pragnących tego nastolatków i finansowanie ich z budżetu państwa. Jeśli wygrana Mamdaniego to nie „wypadek przy pracy", ale faktyczny zwiastun zmian (na co niestety ruch MAGA, a głównie jego prominentni beneficjenci, tacy jak Donald Trump i J.D. Vance, ciężko „zapracowali"), czas na zmianę hasła amerykańskich konserwatystów. Darujmy już sobie „Make America Great Again" i módlmy się z pokorą: „God Save America". S

ZWIASTUNEM ZMIAN JEST WYGRANA W WYBORACH NA BURMISTRZA NOWEGO JORKU ZOHRANA MAMDANIEGO, KTÓRY ŁĄCZY W SOBIE WSZYSTKO, Z CZYM WALCZYŁ RUCH MAGA.

eprasa.pl de96da4d7d

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – „Dymią zgliszcza i krew dymi,/ W jeden mordu stos olbrzymi,/ A przez trupy do Warszawy/ Sam Suworow wchodzi krwawy" – ten cytat przeczytałam w materiałach, które mi Pan udostępnił.

Tomek: – To fragment utworu Marii Konopnickiej napisanego, by upamiętnić ofiary Rzezi Pragi dokonanej przez Rosjan 4 listopada 1794 roku w trakcie trwania insurekcji kościuszkowskiej.

– Według różnych szacunków w wyniku Rzezi Pragi życie straciło ponad 20 tys. osób. Te wydarzenia, jak przekazują historycy, stały się impulsem do decyzji o kapitulacji i w konsekwencji do zajęcia Warszawy przez Rosjan.

– Do dziś na Pradze, nieopodal katedry św. Marii Magdaleny, stoi krzyż upamiętniający ofiary tamtego wydarzenia. Kilka lat temu zrobiłem zdjęcia tego miejsca.

– Na krzyżu tym napisano: „Zginęli, ponieważ byli Polakami".

– Może dlatego przypomniałem sobie o tych zdjęciach przy okazji Święta Niepodległości.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl de96da4d7d

Było piękne miasto nad Menem



Fot. Adobe Stock

Znacie to o żabie? Gotowana stopniowo nie zauważa, że uchodzi z niej życie. Ten płazi zanik instynktu samozachowawczego wydaje się idealną metaforą sytuacji w niejednym regionie Europy Zachodniej, ale bodaj nigdzie efekt „podgrzewania" ideologią „willkommen" nie dał **równie spektakularnych** (w tym przypadku: niszczących) efektów, jak we Frankfurcie nad Menem.

Monika Małkowska

Mówić o biciu na alarm to nic nie mówić. Frankfurt dorobił się „zaszczytnego" miana najbardziej niebezpiecznego miasta w Niemczech, wyprzedzając Hanower i Berlin. A poziom przestępczości wciąż tu rośnie. W tej „stolicy zbrodni" pod koniec października br. statystyki odnotowały 14 600 przestępstw na 100 tysięcy mieszkańców. Podobno to dane zawyżone (?) ze względu na megaport lotniczy i różne popełniane tamże drobne przekręciki typu podprowadzenie walizki podróżnym. Ale nawet nie licząc tego, nie do obrony jest kategoria grubych przestępstw dokonywanych w okolicy dworca. Znów – na pozór normalka – gangsterski habitat jak wszędzie indziej na świecie. Czerwone latarnie i trochę pif-paf lub skrwawione sprężynowce? Jak w innych międzynarodowych aglomeracjach, zwłaszcza w rejonach przydworcowych. Jednak... trochę tu gorzej niż gdzie indziej.

Zombieland

Narkotykowy hotspot we Frankfurcie uchodzi za najniebezpieczniejszy slums w Niemczech. To, że białych twarzy prawie tu nie widać, to jeszcze nic. Co krok ktoś zlega bezprzytomnie na ulicy, trawiony jakimś zaaplikowanym halucynogenem. Nazywają te okolice „Zombielandem". W tym narkotykowym piekle Europy żyje 5 tysięcy ćpunów uzależnionych od hery, fentanylu lub opiatów. Policja starała się jakoś temu zaradzić: w 2017 r. miała „sukces", skonfiskowała 14 ton narkotyków. Ale potem nastąpiła pandemia, która nie pomogła stróżom prawa, nawet przeciwnie – więcej osób wylądowało na ulicy. W 2023 r. odnotowano 30-procentowy wzrost ataków „z uszczerbkiem ciała", 60-procentowy wzrost ulicznych rozbojów i podwojenie liczby kradzieży kieszonkowych. Wszystkie dane dotyczą ciągnącego się od dworca rejonu Bahnhofsvier-

eprasa.pl de96da4d7d

tel. Nieopodal są szkoły, toteż żeby chronić dzieciarnię przed okropnymi widokami, politycy z SPD apelowali o zatrudnienie ochroniarzy przy podstawówkach oraz o usuwanie „zużytych strzykawek, rozbitych butelek i zużytych prezerwatyw" na trasie małoletnich.

Statystyka na przekór ideologii

Nikt jednak nie mówi, co spowodowało te niechlubne rekordy. Otóż w ostatnich dwóch dekadach Frankfurt przeobraził się w najbardziej międzynarodową aglomerację Niemiec: ponad 40% obywateli to migranci wywodzący się z ponad 170 narodowości. (Mike Josef, od 2023 r.burmistrz miasta, reprezentant SPD, urodzony jest w Syrii). Oczywiste, że prym wiedzie imigracja turecka, osadzona tu dobrze od ponad półwiecza, której weszli w drogę oraz interesy nieco późniejsi przybysze z Chorwacji. I te dwa największe osadnicze ugrupowania toczą między sobą mafijne walki, które nierzadko ścielą się krwawym szlakiem. Nie da się jednak ukryć, że to nie rdzenni mieszkańcy Hesji winni są tej ponurej statystyce.

Miejscówka-cud

Na pierwszy rzut oka Frankfurt nad Menem wydawać się może miejscówką wybraną przez Boga: sama natura gwarantuje mieszkańcom dobrobyt. Miasto rozłożone po dwóch stronach rzeki Men, która ani zbyt szeroka, ani głęboka nie jest, a jednak żeglowna. Nieopodal wznosi się niewysokie pasmo górskie Taunus, obfitujące w źródła mineralne, co sprawiło, że powstały tu liczne uzdrowiska, w tym kultowe Wiesbaden czy Kronberg. A na południowych stokach świetnie udaje się uprawa winorośli (może znacie trunki z okręgu Rheingau?). Dodajmy do tego dumną frankfurcką historię: tu wybierano królów (od 1147 r.), a następnie cesarzy niemieckich (od 1356 r.), w miejscowej katedrze aż do 1792 r. odbywały się zaś koronacje Cesarzy Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Można by sądzić – kwintesencja niemieckości. Ale to pieśń przeszłości.

Sky is the limit

Czym Frankfurt wyróżnia się współcześnie? To trochę miasto paradoks. Samo w sobie nie takie znów ludne, raptem 760 tys. mieszkańców, ale bogatsze niż niejedna metropolia. Z racji skomasowanego we Frankfurcie kapitału miasto przezwano Bankfurtem. Tu są siedziby m.in. Europejskiego Banku Centralnego, Commerzbanku, Deutsche Banku i wielu banków komercyjnych. Banki manifestowały swój potencjał i prestiż drapaczami chmur, prześcigając się w wysokości siedzib. Jak na razie konkurencję wygrywa Commerzbank Tower (budowa zakończona w 1997 r.), wzbijający się na 300,1 m ponad poziom ulic. Do 2021 r. – europejski rekordzista. „Pokonała" go warszawska Varso Tower (310 m), jednak nadal pozostaje najwyższym budynkiem w Niemczech. Trzecie miejsce w podniebnym wyścigu zajmuje również frankfurcka Messeturm (257 m), czyli Wieża Targowa, z powodu kształtu pospolicie zwana „ołówkiem". Ten „stary" wieżowiec (ukończony w 1988 r.) wybudowano w pobliżu terenów targowych (tradycyjnie kulturalno-handlowa atrakcja miasta nad Menem) – stąd nazwa. Właśnie z powodu najeżonej nowoczesnymi szklanymi wieżowcami panoramy Frankfurt porównywano do Manhattanu – ale to już trochę nieaktualne. Bo obecnie coraz więcej metropolii wygląda podobnie... Choćby Warszawa.

> FRANKFURT DOROBIŁ SIĘ „ZASZCZYTNEGO" MIANA NAJBARDZIEJ NIEBEZPIECZNEGO MIASTA W NIEMCZECH, WYPRZEDZAJĄC HANOWER I BERLIN.

Podcięte skrzydła Lufthansy

Frankfurt wciąż może zaimponować największym w Niemczech lotniskiem, drugim pod względem liczby pasażerów w Europie i ósmym w skali globalnej. Lotniczy hub to atut, a zarazem przekleństwo dla okolicy: nieznośny hałas startujących i lądujących maszyn doprowadził do protestów lokalsów z pobliskich miejscowości, którzy sądownie (w 2011 r.) wymusili „ciszę nocną" od godziny 23.00 do 5.00. Dotyczy to głównie lotów cargo, ale ogranicza też rejsowe. Zakaz nocnych lotów dosłownie podciął skrzydła Lufthansie (linie straciły 4,8 proc. akcji, co przekłada się na ok. 40 mln euro rocznie straconego dochodu) oraz był ciosem w plecy dla Fraportu, operatora lotniska (spadek o 2,3 proc. akcji). Ale to nie ograniczenia lotnicze doprowadziły do powolnej degrengolady tego miasta – bo takową obserwuję w ciągu minionych trzech dekad.

Frankfurckie powidoki

Frankfurt am Main stał się dla mnie w pewnym sensie miastem

eprasa.pl de96da4d7d

konstytuującym zawodowo. W Städel Museum w 1979 r. zaprezentowana została retrospektywa Jeana Tinguely'ego. Dzięki zaproszeniu znajomych i poluzowaniu w kwestii wyjazdów na Zachód udało mi się ją zobaczyć. To był szok! Zobaczyłam po raz pierwszy „na żywo" prace słynnego Francuza, i to nie tylko artefakty w gmachu muzeum, także ruchome rzeźbo-konstrukcje poruszające się po terenie ogrodu. Ekspozycja pobudziła na tyle moją wyobraźnię, że napisałam pierwszą w życiu recenzjo-refleksję wokół tego wydarzenia. Tekst zaproponowałam tygodnikowi „Literatura" i... został przyjęty, wydrukowany, zapłacony! Ale to inna historia.

Bo nie wyłącznie sztuka zawładnęła wówczas moim wyobrażeniem o zasobnych miastach Zachodu. Z perspektywy PRL-u Frankfurt wydawał się nierealnie, nieosiągalnie bogaty. I niespecjalnie otwarty na element napływowy. Pamiętam tamten gorący wakacyjny dzień, kiedy zwiedzałam pokaz Tinguely'ego i snułam się przez centrum miasta: było puste. Ani ruchu pieszego, ani kołowego. Tak, zamożni mieszkańcy Bankfurtu w kanikułę opuszczali swoje luksusowe wille i apartamenty, w efekcie czego ulice wydawały się wymarłe. Turyści też nie pchali się tłumnie do metropolii kojarzonej głównie z finansami. Oczywiście każdy słyszał o największych na świecie Targach Książki organizowanych tu od 1949 r., powiązanych z historią miasta od... XV wieku – za sprawą wynalazcy komercjalnego druku Johannesa Gutenberga, dziecka Moguncji oddalonej 30 kilometrów od terenów Buchmesse.

Kulturalny boom

Po latach, już po naszej transformacji, wielokrotnie wracałam do miasta nad Menem, motywowana znakomitymi wystawami, o których w III RP jeszcze się nie śniło. Bo Frankfurt pod koniec lat 80. ubiegłego wieku dostał kulturalnego kopa. Sztuka stała się tam trendy, snobistyczny smrodek wymieszał się z zapachem pieniędzy. W mieście pojawili się ekstrawagancko odziani ludzie zawodowo związani ze sztuką. Bo też było na co popatrzeć! Momentem przełomowym stało się otwarcie Schirn Kunsthalle (1986 r.), w miejscu XIX-wiecznych straganów (stąd nazwa), w samym pępku miasta, w najbliższym sąsiedztwie katedry. Nowoczesna architektura plus ambitny program napędziły międzynarodową publiczność (prawie 10 mln do lat 20. tego stulecia). Ale to nie wszystko. Tuż obok jest jeszcze Muzeum Sztuki Nowoczesnej (MMK). Przy bulwarach, po obydwu stronach rzeki Men, rozsiadło się ponad 15 galerii i muzeów. Wspomnę najciekawsze przybytki: Muzeum Filmu, Inżynierii i Architektury, Komunikacji, Sztuki Użytkowej. Na Wybrzeżu Muzeów jednym z okazalszych i najstarszych budynków jest wspomniane powyżej Städel, od ponad 200 lat dostępne dla widzów. Co ważne: powstało z inicjatywy bankowca Johanna Friedricha Städela, który dorobił się na handlu przyprawami i chemikaliami, a jego ostatnią wolą stało się powołanie pierwszej w Niemczech Fundacji Muzealnej. I tak bankowiec Städel stał się „patronem" frankfurckich mecenasów sztuki.

Dołowanie

Przez kilka lat Bankfurt uwierzył w swój potencjał artystycznego centrum południowej części Niemiec. Jednak w ostatnich latach impet osłabł. W Schirn od około roku nic się nie dzieje i nie bardzo wiadomo, jak długo jeszcze Kunsthalle zostanie zamknięta; w MMK i na Wybrzeżu Muzeów pokazy n-to rzędnej ligi, wśród których przeważają „dedykowane" kulturom krajów, z których napłynęli imigranci. A tych bardziej niż oferta sal wystawowych interesują tanie przymuzealne barki. Z centrum miasta zniknęły miłe kafejki i sympatyczne lokale gastronomiczne, dominują zaś fast foody i przybytki, do których turyści nie odważają się zaglądać. Już dekadę temu luksusowy handlowy deptak Zeil przeobraził się w coś przypominającego ośrodek multi-kulti. Więcej tu bezdomnych, żebraków i ulicznych muzyków wszelkiego autoramentu niż zasobnych klientów poszukujących eleganckich towarów. Drogie niegdyś, markowe butiki wytraciły ekskluzywny sznyt. Wszędzie królują tanie sieciówki, bo na ich ofertę jeszcze jest zapotrzebowanie. Kulturalne dołowanie wpłynęło na kulinarno-handlowy stan Bankfurtu. Oczywiście gdzieś tam „w górze" bankierzy prowadzą swoje biznesy. Ale w dole miasto zdycha.

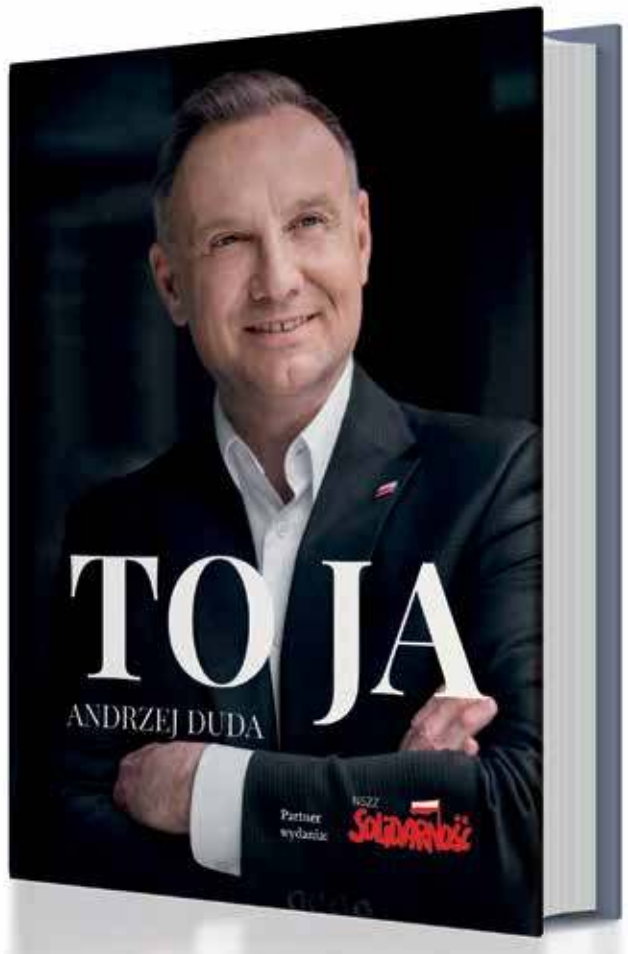
FRANKFURT NAD MENEM WYDAWAĆ SIĘ MOŻE MIEJSCÓWKĄ WYBRANĄ PRZEZ BOGA: SAMA NATURA GWARANTUJE MIESZKAŃCOM DOBROBYT.

eprasa.pl de96da4d7d

SPOTKANIA WOKÓŁ KSIĄŻKI „TO JA. ANDRZEJ DUDA”

Zapraszamy do Warszawy i Gdańska!

Przed nami kolejne spotkania wokół specjalnej edycji książki „To ja. Andrzej Duda” z rozdziałem o współpracy prezydenta z NSZZ „Solidarność”. Tym razem spotkamy się w Warszawie i Gdańsku.



SPOTKANIE W WARSZAWIE ODBĘDZIE SIĘ 21 LISTOPADA O GODZ. 17.00 w Domu Pielgrzyma „Amicus” przy ul. Hozjusza 2. Z kolei w Gdańsku o książce porozmawiamy 24 listopada o godz. 16.00 w historycznej Sali BHP. W obu spotkaniach wezmą udział: prezydent Andrzej Duda i przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Piotr Duda.

Podczas wydarzenia Andrzej Duda zaprezentuje specjalną edycję swojej książki wzbogaconą o nowy, unikalny rozdział poświęcony Solidarności. Na miejscu będzie można zakupić jej egzemplarz i zdobyć autograf Andrzeja Dudy. To doskonała okazja do rozmowy, wspólnego zdjęcia i inspirującego spotkania z autorem.

Warszawskie spotkanie jest współorganizowane przez Fundację Promocji Solidarności oraz Region Mazowsze NSZZ „Solidarność”, współorganizatorem gdańskiego spotkania jest zaś Region Gdański NSZZ „Solidarność”.

W wydanej niedawno autobiografii „To ja. Andrzej Duda” autor ujawnia kulisy swojej prezydentury.

Były prezydent swoją książkę promuje od kilku tygodni.

Andrzej Duda specjalnie dla członków i sympatyków Związku przygotował nowy, niepublikowany wcześniej rozdział dotyczący właśnie współpracy z Solidarnością. Wśród około 250 zdjęć znalazły się także nowe, niepublikowane wcześniej fotografie pokazujące oficjalne i nieoficjalne spotkania prezydenta z ludźmi Solidarności.

A jest o czym opowiadać, bo okres prezydentury Andrzeja Dudy był czasem bliskiej i wyjątkowej w najnowszej historii Polski współpracy największego i najsilniejszego związku zawodowego w Polsce z głową państwa. Był to czas rozwoju polskiej gospodarki, szybkiego wzrostu PKB i spadku bezrobocia, a także realnego wdrożenia po raz pierwszy w historii III RP konstytucyjnej zasady społecznej gospodarki rynkowej i zrównoważonego rozwoju społecznego.

ANDRZEJ DUDA SPECJALNIE DLA CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW ZWIĄZKU PRZYGOTOWAŁ NOWY, NIEPUBLIKOWANY WCZEŚNIEJ ROZDZIAŁ DOTYCZĄCY WŁAŚNIE WSPÓŁPRACY Z SOLIDARNOŚCIĄ.

Partnerami edycji specjalnej autobiografii prezydenta Dudy są NSZZ „Solidarność”, Fundacja Promocji Solidarności, „Tygodnik Solidarność” i portal Tysol.pl.

Książkę można kupić online w sklepie internetowym: www.solidarnosc.sklep.pl. Jedynym punktem sprzedaży stacjonarnej jest historyczna Sala BHP Stoczni Gdańskiej.

BM

eprasa.pl de96da4d7d

KULTURA

NIE MAM PARCIA na cokolwiek



Fot. arch.

– Robię muzykę z potrzeby serca. I przede wszystkim kieruję się tym, żeby nie utracić naturalności, tego, że muzyka jest moją pasją, że śpiewanie wychodzi z mojego serca i że to jest ważniejsze niż zewnętrzne aspekty, które się potem nakłada, gdy artysta stara się zbudować markę osobistą albo karierę – mówi **Aleqsandra**, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Kim jesteś?

– Jestem jedną z tych osób, która stara się robić wszystko z jak najmniejszym nadęciem i parciem na cokolwiek. Staram się iść do przodu. Mam też świadomość, że im bardziej się za czymś goni, to czasem tym bardziej to ucieka. Staram się podchodzić do wszystkiego na spokojnie. Na pewno jestem artystką, ale jestem też po prostu osobą, która ma dwadzieścia lat, która szuka i się rozwija.

– Co robisz, żeby nie być nadętą osobą?

– Zależy mi na naturalności i na tym, żeby stawiać swoją twórczość na pierwszym miejscu, żeby to ona była priorytetem. Teraz bardzo ważne są media społecznościowe –

eprasa.pl de96da4d7d

rozwijam się w tym i biorę je pod uwagę, natomiast zawsze staram się przypominać sobie o tym, że jednak ważna jest muzyka, ważne jest to, dlaczego to robię, a robię to dlatego, że płynie to z potrzeby serca. Kieruję się przede wszystkim tym, żeby nie utracić naturalności, tego, że muzyka jest moją pasją, że śpiewanie wychodzi z mojego serca i że to jest ważniejsze niż zewnętrzne aspekty, które się potem nakłada, gdy artysta stara się zbudować markę osobistą albo karierę.

– Jakbyś się określiła w dwóch słowach?
– Ironiczna i liryczna.

– Zacznijmy od ironicznej.
– „Warszawocentryczna" jest mocno ironiczna. Mój najnowszy singiel „Mała rzecz" jest też bardzo ironiczny z mojej perspektywy, a w życiu jestem jeszcze bardziej ironiczna niż w piosenkach.

– Ironia jest antidotum na to, co się dzieje dookoła?
– Tak. Lubię dostrzegać rzeczy i z dystansem do nich podchodzić. Oczywiście czasem jest to trudne, ale wydaje mi się, że to, że mam takie podejście, pozwala mi lepiej dostrzegać emocje, przeżycia i dzięki temu wyrzucać je z siebie w postaci piosenek i tekstów.

– Czym się zajmujesz poza muzyką?
– Studiuję.

– Co?
– Socjologię na Uniwersytecie Warszawskim.

– Dlaczego socjologia?
– Socjologia zawsze mnie interesowała, odkąd byłam dzieckiem, i uważam, że jest bardzo ważną nauką. Socjologia jest przydatna w wielu praktycznych tematach, warto ją poznawać i zgłębiać.

– O czym jest socjologia z Twojej perspektywy?
– O nas.

– Czy ma ona przełożenie na Twoją twórczość?
– Chciałabym, żeby miała większy wpływ, bo na razie jestem na etapie, że teksty wychodzą z moich emocji i uczuciowych aspektów mojego życia. Chciałabym umieć połączyć spostrzeżenia, które mam też dzięki temu, że studiuję socjologię, z tematem życia i ludzi i też o tym pisać. Chciałabym, żeby moje teksty były o społeczeństwie, o sytuacjach, które dotyczą ogółu, a nie tylko poszczególnych jednostek.

CHCIAŁABYM, ŻEBY ŻYCIE PRYWATNE NIE KOLIDOWAŁO MI Z ZAWODOWYM, A PO DRUGIE, ŻEBY POTRAFIŁY ZE SOBĄ WSPÓŁGRAĆ.

– Są momenty w Twoim życiu, kiedy odpuszczasz?
– Właśnie wróciłam z Włoch, byłam na warsztatach muzycznych i na wymianie kulturowej przez dwa tygodnie. Włosi mają duży luz. To jest w nich bardzo fajne. Po powrocie do Polski staram się to wcielać w swoje życie, ale jest to trudne nawet przez pogodę, bo u nas jest mało słońca.

– Coś jeszcze poza studiami i muzyką?
– Pracuję. Jestem baristką.

– Jakie są Twoje najbardziej pozytywne i negatywne wspomnienia?
– Za wszystkie jestem wdzięczna, nawet jeśli są niemiłe. A w twórczości najbardziej mnie inspirują refleksyjne i negatywne emocje. Co do refleksji, to mam taką potrzebę od zawsze. Nawet kiedy byłam młodsza, to miałam w sobie taką tendencję do rozmyślania, analizowania, szukania w głębi swojego mózgu tego, co się dzieje, dlaczego się dzieje i tak dalej.

– Dlaczego lubisz linie wysokiego napięcia?
– Podobają mi się. Mają w sobie coś takiego, co pasuje nastrojowo do wielu momentów w życiu. Linie wysokiego napięcia na tle zachodzącego słońca to jest coś, co mnie zainspirowało.

– Napięte czy luźne?
– Zazwyczaj widzę te luźne. Zachód słońca kojarzy mi się z czymś spokojnym, melancholijnym, ale raczej pozytywnym. A te linie wysokiego napięcia zawsze dają mi poczucie napięcia. Są duże i intensywne. I to jest kontrast.

– Jak rozwijasz swoją wrażliwość?
– To mógłby być tytuł książki psychologicznej. Jak pielęgnuję swoją wrażliwość? Na pewno daję sobie przestrzeń na czucie wszystkiego, co do mnie przychodzi. I wychodzę z założenia, że emocje to jest coś, co jest trochę jak czas, czyli po prostu są. To nie jest coś, co możemy kreować, tylko raczej rzeźbić [śmiech]. Dłubanie w nich nie jest przyjemne, ale ja to robię.

– Czy masz coś, czego nie mają inne polskie wokalistki?
– Nie chcę szukać na siłę takich rzeczy, w których jestem od kogoś lepsza. Jest bardzo wielu dobrych artystów.

– Z kim chciałabyś nagrać piosenkę?
– Z Mrozu, Darią Zawiałow, Igorem Herbutem.

eprasa.pl de96da4d7d

– A z zagranicznych?
– Z Arlo Parks, Alicią Keys i Harrym Stylesem.

– No to porozmawiajmy o kawie. Jak przekonać człowieka do kawy?
– Nie ma co przekonywać – jeśli jej nie pije, to jego strata [śmiech]. Kiedy byłam we Włoszech i prosiłam o cappuccino o osiemnastej, to bardzo się dziwili. Nie lubię sztucznie narzuconych barier. Nie jestem konserwatywna w podejściu do picia kawy, czyli na przykład że jak cappuccino, to tylko rano. Niech każdy pije, jak chce, tylko nie można przesadzać, bo to jest niezdrowe dla serca. Aczkolwiek są bardziej niezdrowe rzeczy dla serca niż kawa.

– Twój ulubiony rodzaj kawy?
– Każda dobra. Piję kawę z mlekiem, więc nie jestem megakoneserką.

– A jakim rodzajem kawy byś była?
– Kawą z Brazylii i na pewno nie za mocno paloną. Bardziej słodszą niż kwaśniejszą.

– Jak Brazylia, to latino, nie ciągnęło Cię w tę muzyczną stronę?
– Totalnie nie są to moje klimaty.

– A jakiej muzyki słuchacie Ty i Twoi znajomi?
– Słuchamy podobnej. Jest to muzyka alternatywna, alt-pop.

– Byłabyś w stanie napisać piosenkę dla influencerów?
– Czy byłabym w stanie? Pewnie tak, ale nie chciałabym tego robić.

– Poszłabyś jeszcze raz do „Szansy na sukces”? Wielu uczestników tego programu ma już duże doświadczenia sceniczne.
– Faktycznie tak jest, też to zauważam, że często do takich programów idą osoby, które mają renomę albo przynajmniej większą grupę odbiorców niż totalny debiutant. Cieszę się, że byłam w „Szansie na sukces”, i poszłabym tam jeszcze raz. Może pójdę.

CHCIAŁABYM, ŻEBY MOJE TEKSTY BYŁY O SPOŁECZEŃSTWIE, O SYTUACJACH, KTÓRE DOTYCZĄ OGÓŁU, A NIE TYLKO POSZCZEGÓLNYCH JEDNOSTEK.

– Śpiewałaś piosenkę Blue Café, prawda? „You may be in love”?
– Tak.

– Widzisz, wszystko się kręci wokół kawy. Przypadek?
– Faktycznie [śmiech]! No tak to jest w życiu. „Szansa na sukces” była fajnym doświadczeniem. Szkoda, że nie wygrałam, ale co mogę powiedzieć? Wolałabym wygrać chociaż odcinek.

– Jakie marzenie w życiu prywatnym i zawodowym chciałabyś spełnić?
– Chciałabym, żeby życie prywatne nie kolidowało mi z zawodowym, a po drugie, żeby potrafiły ze sobą współgrać. Chciałabym grać koncerty i żeby to było moje główne zajęcie. Chciałabym dużo podróżować i mieć poczucie, że robię to, co kocham w życiu. I jednocześnie nie chciałabym mieć świadomości, że mogłoby być inaczej i lepiej.

ALEQSANDRA

Aleksandra Rolnik zajmuje się muzyką od 6. roku życia, zaczęła od gry na gitarze klasycznej. Z czasem odkryła w sobie zainteresowanie śpiewem, który rozwija od czasów szkoły podstawowej, biorąc udział w lokalnych konkursach wokalnych. W liceum współpracowała z zespołem coverowym, koncertując w warszawskich domach kultury, na wydarzeniach dzielnicy Śródmieście oraz młodzieżowych festiwalach. Obecnie działa głównie solo lub w duetach wokalno-instrumentalnych, występując w miejscach oferujących muzykę na żywo, takich jak restauracje czy kawiarnie. Specjalizuje się w muzyce R&B, soul i pop, a także tworzy autorskie utwory, dążąc do poruszania słuchaczy i dzielenia się swoimi emocjami.
Łączy nowoczesny alt-pop z nutą soulu, tworząc unikalne brzmienia pełne emocji. Jej teksty to przestrzeń, w której spotykają się toporność życia i sercowe refleksje – opowieści o codziennych sytuacjach i ich wpływie na wrażliwą duszę.
Artystka wyróżnia się feelingiem współczesnej muzyki. Swój głos traktuje jak wehikuł uczuć i emocji, co sprawia, że każda piosenka staje się osobistym doświadczeniem dla słuchacza. Muzyka jest jej wentylem, sposobem komunikacji ze światem i drogą do jego rozumienia. Klimatyczne utwory Aleqsandry to idealna ścieżka dźwiękowa podczas nocnych spacerów, oglądania zachodów słońca czy samotnych chwil służącym higienie duszy. Artystka swoją twórczością pragnie wprowadzać słuchaczy w nostalgiczny, pełen emocji świat, który daje poczucie, że nie są sami w swoich przeżyciach.

eprasa.pl de96da4d7d

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

WŁODI, ERO – RESZTY NIE TRZEBA
WYD. DEF JAM



W dużym skrócie? Dwóch weteranów polskiego rapu łączy siły i dostarcza linijki, do których przyzwyczaili swoich wiernych fanów. Klasyczne nawijki potwierdzające wartość i umiejętności gospodarzy. Jeśli chodzi o gości, to mamy macierzyste składy raperów, tj. Molestę i JWP. Do ekipy dorzucam Ostrego, który na płycie pojawia się w roli producenta i dostarcza bity tożsame z Erosem i Włodim. Miłośnicy klasycznego rapu mogą sobie ostrzyć zęby na wspólną płytę warszawiaków. Jej tytuł jest bardzo spójny z przekazem i twórcami, po prostu... nic więcej nie trzeba. Polecam!

MERY SPOLSKY – KOCHAM POLSKĘ
WYD. KAYAX



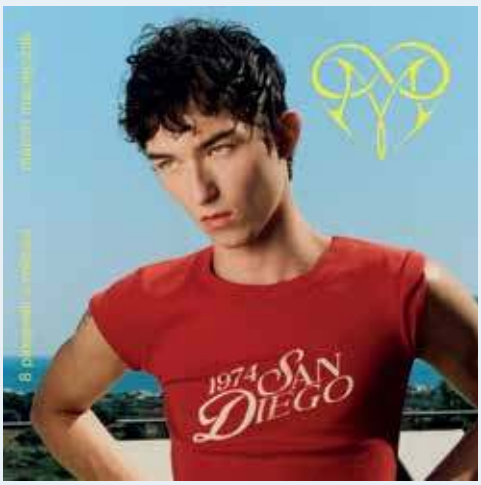
Jeżeli lubicie poprzednie dokonania Mery, to ta płyta jest dla Was. Jeżeli podoba Wam się łączenie rapu ze śpiewaniem, w którym możesz zrozumieć słowa wykonawczyni, to ta płyta jest dla Was. Jeżeli uważacie, że Marysia jest baczną obserwatorką rzeczywistości i sprawnie punktuje przywary Polaków, to ta płyta również jest dla Was. Jeżeli poszukujecie formy nowoczesnego patriotyzmu, który ma zachęcić młodych ludzi do kultywowania tradycji pokrewnych z zawartością w mediach społecznościowych, to ta płyta także jest dla Was. Jeżeli w tym opisie nie zawarłem zdań, z którymi korespondujecie, to ta płyta nie jest dla Was... dla mnie też nie. Nie moja bajka. Nie moja estetyka. Nie moja forma.

BRACIA FIGO FAGOT – WENERYCZNY UPOMINEK
WYD. WARNER MUSIC POLAND



Czasami warto oderwać się od szarej rzeczywistości. Do tego właśnie służy ta płyta. Zespół uwielbiany przez studentów przeszłych i obecnych. Sir Michu dostarczył chłopakom całą paletę bitów, eksplorując muzykę elektroniczną. Na płycie jest również estetyka discopolowa, więc fani gatunku mogą znaleźć coś dla siebie, pamiętając o tym, że panowie, odkąd są na rynku, nieustannie puszczają oczko do disco polo. Takie płyty się konsumuje, włącza na full, czyści podłogę i parkiet. Po prostu carpe diem. Słuchać w formie żartu i nigdy na poważnie. Tego się trzymajcie!

MARCIN MACIEJCZAK – 8 PIOSENEK O MIŁOŚCI
WYD. OFF THE RECORD



Płyta z cyklu: młody, zdolny wokalista śpiewa o miłości. Cieszę się, że od razu w tytule wiem, czego mam się spodziewać. Słuchając kawałków, czuję się, jakby cherubin szykował się do strzelenia strzały w serca osób, które już za chwilę się zakochają. Muzycznie produkt jest nastawiony na playlisty rozgłośni radiowych i trendy w mediach społecznościowych. Bezpieczne kompozycje, które słyszałem tysiące razy. Teksty nie są wysokich lotów. Można posłuchać, jak się ma dużo wolnego czasu, i o nich zapomnieć. Natomiast wiemy nie od dziś, że ludzie zakochani nie myślą racjonalnie.

eprasa.pl de96da4d7d

Gdy odwrócimy PIĘKNO i DOBRO...

Pomiędzy słowem „brzydki” a „piękny” postawiliśmy **nieformalny znak równości**. Jest „charakterystyczny” i „piękny inaczej”. To tylko kolejny zabieg lingwistyczny związany z polityczną poprawnością czy może coś więcej?

Katarzyna Kasjanowicz

Przyjęło się mówić, że o gustach nie dyskutujemy. Zatem to, co dla jednego jest nieładne, nieatrakcyjne, dla drugiego może być pociągające i pełne delikatnego uroku. W czasach młodości mojej babci było takie powiedzenie: „Każda potwora znajdzie swego amatora”. Dziś potworów już nie ma. Oswojono je w filmach dla dzieci i przerobiono na przytulanki do snu. Niereformowalny zabójca z serialu oglądanego z wypiekami na twarzy to przecież tylko pogubiony człowiek, a przy tym o tak ciekawym życiorysie, że niejeden widz może go pozazdrościć. Modelki, niegdyś ikony doskonałego piękna, później biedne dziewczyny zmagające się z nierealnymi standardami okupionymi anoreksją, dziś są po prostu... I tu należałoby użyć przymiotnika, który mógłby naruszyć czyjąś delikatność. Brak symetrii twarzy, androgeniczna aparycja to zupełnie nowe, nieludzkie normy piękna. Z drugiej strony za wrażliwością językową w nazywaniu zjawisk, osób, sytuacji stoi niesamowita wulgaryzacja codziennego języka, jakiej nie było nigdy wcześniej w cywilizowanych społeczeństwach.

Od misia do kościotrupa

W minionych wiekach zabawki nawiązywały głównie do dziecięcych marzeń. Realistyczne makiety domków i sklepów, zabawki zręcznościowe, latawce lecące do gwiaździstego nieba; dla dziewcząt lalki i akcesoria uczące dorosłego życia; dla chłopców konie, powozy, żołnierzyki i modele broni. Tak jak o wszystkim – strojach, kuchni, nawykach, tak również o zabawkach – decydował status społeczny. Wiejska dziewczynka próżno mogła marzyć o porcelanowej lalce z zestawem ubrań i dodatków. Tak samo dziewczynka z dworku szlacheckiego nie brała pod uwagę możliwości, że sama sobie zrobi lalkę z patyków, szyszek i szmatek. Każda jednak chciała mieć swoją przyjaciółkę, powierniczkę, „córeczkę”. Miała potrzebę, by dawać ciepło i je otrzymywać. Zabawki pozwalały sprawdzać się w konkretnych rolach, ale też rekompensowały różne deficyty. Spełniały rolę społeczną, edukacyjną, terapeutyczną... Pod koniec XIX wieku swój nieoczekiwany sukces zaczął osiągać pluszowy miś, bodaj najpopularniejsza zabawka na świecie. Pociągnęło to za sobą modę na inne

> ŚWIAT DZIECIĘCYCH ZABAWEK Z POŁOWY LAT 90. XX WIEKU ZACZĄŁ POWOLUTKU WKRACZAĆ W BARDZIEJ MROCZNE OBSZARY. POJAWIŁY SIĘ FURBY I TROLLE, KTÓRE DZIŚ WYGLĄDAJĄ DOŚĆ NIEWINNIE.

eprasa.pl de96da4d7d

pluszaki. Przez dekady dzieci chętnie tuliły tekstylne pieski, kotki, osiołki, króliki i wiele innych zwierzątek budzących pozytywne, swojskie skojarzenia. Jeszcze w epoce postpeerelowskiej w specjalnych sklepach z zabawkami i na tematycznych stoiskach w domach handlowych, będących rodzimymi odpowiednikami późniejszych hipermarketów, można było znaleźć gry planszowe, wszelkie klocki, piłki, tekstylne oraz plastikowe zwierzątka ze Spółdzielni Pracy „Miś" czy drewniane laleczki „Gromady". Obok nich stały pierwsze drogie Barbie do kupienia nareszcie za złotówki i inne kolorowe lalki, kauczukowe piłeczki, „czepiaki", samochodziki, maskotki wyprodukowane w Chinach, Hongkongu, na Tajwanie – często z filmów animowanych, których w Polsce jeszcze nie było. Te przedmioty kojarzyły się z beztroską, radością, bezpieczeństwem i dobrobytem. Świat dziecięcych zabawek z połowy lat 90. XX wieku zaczął powolutku wkraczać w bardziej mroczne obszary. Pojawiły się Furby i Trolle, które dziś wyglądają dość niewinnie. W nowym wieku na sklepowych półkach można było znaleźć pewną ilość potworów, czarownic, ponurych wojowników. Wciąż jeszcze dziwiły rodziców i odpychały większość dzieci. Dziś brzydkie, mroczne zabawki to już norma. Nie potrzeba Halloween, by móc kupić szkielety, straszydła, pająki, smoki, wilki czy wiele innych, które kiedyś nie tylko u dzieci wzbudzały wstręt i lęk. Obecnie zostały wykreowane na ulubione maskotki, a ich negatywny wizerunek uległ niejako odwróceniu, oswojeniu i wreszcie zaadaptowaniu do codzienności. Społeczną karierę robią plastikowe i pluszowe wilki, pająki czy gady. Zwierzęta niebezpieczne, takie, które przez wieki kojarzyły się ze śmiertelnym zagrożeniem, zmieniły się w równie miłe jak króliczki, kurczaczki czy szczeniaczki. Oswajanie naturalnego niebezpieczeństwa osiągnęło w tym przypadku poziom karykatury. Ale ta zmiana społecznej mentalności i wrażliwości zatoczyła dużo szersze kręgi. Warto jeszcze wspomnieć kontrowersyjną maskotkę Labubu, która pod każdym względem świetnie opisuje naszą współczesność. Od estetyki łączącej kolor i puszystość z niepokojącym spojrzeniem i przerysowanym uśmiechem, poprzez uniwersalizm odbiorcy (kupowana jest nie tylko dla dzieci) do agresywnego, pokrętnego marketingu. W kampanię sprzedażową zaangażowało się wiele celebrytek, kreując Labubu na wyjątkowo



Maskotka Labubu – pod każdym względem świetnie opisuje naszą współczesność

Fot. Adobe Stock

epitasa.pl de96da4d7d

pożądany i dość ekskluzywny przedmiot. Zadziałał tu tzw. mechanizm czekolady dubajskiej. Gdy Labubu spowszedniały, a ich sprzedaż zaczęła wyraźnie spadać, wykreowano nową grupę docelową. Maskotka w stylu ugly-cute miała trafić tym razem do trudniejszego odbiorcy stojącego w opozycji do powszechnych mód. Specjaliści od marketingu zaczęli więc uwypuklać rzekomo demoniczne cechy maskotki i jej negatywny wpływ na otoczenie. Ta pozorna antyreklama okazała się strzałem w dziesiątkę. Sprzedaż znowu wzrosła, a grupa docelowa poszerzyła się o grono pierwotnie niezainteresowane produktem. Można powiedzieć, że przykład Labubu pokazuje nasze coraz dziwniejsze fascynacje, uległość wobec mody i nieodporność na strategie komercyjne. A także potrzebę posiadania rzeczy całkowicie bezużytecznych.

Pogłaskać potwora

Od połowy lat 60. XX wieku wraz z rozwojem telewizji zaczęły pojawiać się seriale nie tylko obyczajowe, ale także takie, które trudno jednoznacznie zaklasyfikować. „Rodzina Addamsów" (1964–1966) łączy gatunki komedii familijnej z komedią grozy. W tej niepozbawionej uroku serii, która tylko z pozoru przedstawia typową amerykańską rodzinę, dotykamy zjawisk paranormalnych i oswajamy dziwne sytuacje. W tym samym czasie serca widzów podbił serial daleko wykraczający poza ziemskie kwestie. „Star Trek" zadebiutował w 1966 roku. Historia o międzygatunkowej unii pokojowo eksplorującej galaktykę na zawsze wpisała się w popkulturę. Miała kilka telewizyjnych i kinowych kontynuacji sięgających aż po widownię XXI wieku. Jej fenomen nie gaśnie, a figurki aktorów, ich wizerunki zamieszczone na odzieży i przedmiotach codziennego użytku – jak wiele innych gadżetów filmowych – przynoszą producentom krociowe zyski. Można powiedzieć, że oba seriale właściwie wytyczyły dwa nurty, w których przez kolejne dekady poruszała się produkcja filmowa: science fiction i horror. Pierwotnie oba gatunki były czymś niszowym. Wraz z rozwojem techniki i dostępności dla producentów efektów specjalnych kino fantastyczne stało się ważną gałęzią przemysłu filmowego. Od takich perełek jak „Gwiezdne wojny", „Obcy", „Batman" czy „Terminator" kolejni producenci nadal odcinają kupony, a niezwykłe, niebezpieczne światy wykreowane w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych stały się częścią popkultury oraz punktem odniesienia dla kolejnych twórców i bardziej wymagającej widowni. Ta zmusiła do szczególnego wysiłku scenarzystów i reżyserów filmów grozy. Dziś horror to już nie tandetny straszak, ale niejednokrotnie dzieło sztuki filmowej, obsypane nagrodami na festiwalach. Porusza tematy egzystencjalne i metafizyczne, ale rzadko ma szczęśliwe zakończenie. Rocznie na świecie powstaje kilka tysięcy filmów grozy. To jeden z najchętniej oglądanych gatunków przez młodzież, ale nie tylko. Podobne statystyki notowane są w branży czytelniczej. Jest to pewnego rodzaju fenomen, który można tłumaczyć przynajmniej medycznie i społecznie. Już jako dzieci lubimy się bać, pod warunkiem, że jest to strach kontrolowany, gdyż nie znajdujemy się w sytuacji faktycznego zagroże-

GATUNEK SCIENCE FICTION OSWOIŁ NAS M.IN. ZE ŚWIADOMOŚCIĄ, ŻE MOŻEMY NIE BYĆ SAMI WE WSZECHŚWIECIE. HORROR PRZYPOMNIAŁ, ŻE ISTNIEJE NIE TYLKO LUDZKIE ZŁO ORAZ WIELE ZJAWISK NIEWYJAŚNIONYCH.

CORAZ CZĘŚCIEJ ZACIERA SIĘ GRANICA POMIĘDZY DOZWOLONYM A NIEDOZWOLONYM. POMIĘDZY PRAWDZIWYM A FIKCYJNYM. DOBRYM I ZŁYM. SZUKAMY ROZRYWKI W GROZIE ZAMIAST W PIĘKNIE.

eprasa.pl de96da4d7d

nia. Gdy widzimy groźne zdarzenie, nasze ciało reaguje wydzieleniem hormonów związanych ze stresem. Adrenalina i kortyzol przygotowują nas do walki lub ucieczki. Na szczęście ani jedno, ani drugie nie będzie potrzebne widzowi podczas oglądania napadu demona czy psychopatycznego zabójcy. Po ustąpieniu stresu nasze ciało, najprościej rzecz ujmując, odpręża się. Oddech zwalnia, maleje tętno i czujemy się po prostu przyjemnie. Nie możemy tego zrobić w realnym życiu pełnym niechcianego stresu i śmiertelnych zagrożeń. A jednak ta ucieczka od złych emocji w filmy i literaturę pokazujące złe sytuacje i dziwne, fantastyczne postacie, nie buduje w nas umiejętności faktycznego radzenia sobie z trudami własnej egzystencji. Być może współczesny człowiek nie jest już w stanie uwierzyć, że ma jakikolwiek wpływ na codzienne zagrożenia: wojny, zarazy, inflację, bezrobocie, rozwój sztucznej inteligencji, zmiany klimatu, ograniczenie swobód. Jest myślącą i czującą drobiną pomiędzy ścierającymi się siłami ludzkimi i naturalnymi. Gatunek science fiction oswoił nas m.in. ze świadomością, że możemy nie być sami we wszechświecie. Horror przypomniał, że istnieje nie tylko ludzkie zło oraz wiele zjawisk niewyjaśnionych. Oba przyzwyczaiły nas do grozy i niejednokrotnie nadały pozytywne cechy temu, co nie tylko w europejskiej kulturze kojarzyło się negatywnie. A to stanowi wytyczanie nowych granic.

Ryzyko na niby?

Młodsze pokolenia wychowane na filmach o dobrych wilkach i sympatycznych potworach noszące ubrania z wizerunkiem kosmity, szkieletu i w estetyce ugly-cute nie szukają tego, co sprawdzone, zwyczajne, bezpieczne. Kreują nowe pojęcia estetyczne i nowe wzorce zachowań. Nie próbuję tu tworzyć reguły, ale nie da się nie zauważyć korelacji pomiędzy poszerzeniem społecznej akceptacji wobec wcześniej nieakceptowalnego, a modą na ryzyko i grozę w codziennym życiu. I tak nie jest już niczym niezwykłym traktowanie jako domowych pupili gekonów, pająków czy węży. Nawet jeśli często nie mamy warunków zaspokajających potrzeby takich zwierząt, głośniej o trendzie trzymania gadów robi się tylko wtedy, gdy niektórzy właściciele węży, udając miłośników zwierząt, szukają w internetowych ogłoszeniach kociąt na karmę. Również nie dziwi tak mocno fascynacja niebezpiecznymi rasami psów. Choć dobermany i rottweilery nie są już tak popularne jak na przełomie wieków, to ich miejsce zajęły pitbule czy kontrowersyjne amstaffy, pierwotnie wykorzystywane w walkach psów. Dziś to modne kanapowce, ale mające duże problemy z emocjami. Jeśli trafią na niestabilnego właściciela, ryzyko nieszczęścia jest wysokie. Ale i słowo „ryzyko" uległo w ostatnich czasach odwróceniu – z odstraszającego do pociągającego. Nastąpiła pewnego rodzaju jego dewaluacja... Ekscytują nas wysokogórskie, zagraniczne wspinaczki, eksploracje jaskiń czy nurkowanie. O popularności wyścigów motocyklowych i samochodowych nie trzeba nawet wspominać, bo mieszkańcy miast borykają się z tym problemem nader często. W dużym stopniu wynika to ze znacznie większej dostępności takich rozrywek niż jeszcze 20 lat temu, ale też z chęci zaimponowania otoczeniu i przekroczenia granic codzienności. Choć w niniejszym tekście koncentruję się na Polsce, chcę zaznaczyć, że opisane zjawiska dotyczą w różnym stopniu całego rozwiniętego świata. W październiku br. na dachu pociągu metra w Nowym Jorku znaleziono ciała dwóch nastolatek. To kolejne ofiary tzw. metro surfingu. W latach 2023–2024 tylko w Nowym Jorku zginęło w ten sposób 18 młodych ludzi. W ciągu tego roku policja uratowała ponad 50 osób uprawiających ten autodestrukcyjny „sport". Coraz częściej zaciera się granica pomiędzy dozwolonym a niedozwolonym. Pomiędzy prawdziwym a fikcyjnym. Dobrym i złym. Szukamy rozrywki w grozie zamiast w pięknie. Wyrażamy się poprzez dziwność, która wyznacza nowe standardy. Czy jest to naturalna kolej społecznej ewolucji, czy zjawisko aranżowane mające na celu osłabienie kondycji człowieka?

MŁODSZE POKOLENIA WYCHOWANE NA FILMACH O DOBRYCH WILKACH I SYMPATYCZNYCH POTWORACH NOSZĄCE UBRANIA Z WIZERUNKIEM KOSMITY, SZKIELETU I W ESTETYCE UGLY-CUTE NIE SZUKAJĄ TEGO, CO SPRAWDZONE, ZWYCZAJNE, BEZPIECZNE.

eprasa.pl de96da4d7d

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC



SOLIDARNOŚĆ ŚWIĘTOWAŁA
odzyskanie przez Polskę niepodległości

Fot. M. Żegliński

Solidarność w całym kraju świętowała 107. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. 11 listopada przewodniczący Związku Piotr Duda wraz ze swoimi zastępcami: Grzegorzem Adamowiczem, Maciejem Kłosińskim i Bartłomiejem Mickiewiczem wzięli udział w uroczystej odprawie wart przy Grobie Nieznanego Żołnierza u boku prezydenta Karola Nawrockiego.

– Nawet jeśli jacyś celebryci obrażają polski mundur, używając słów, które nie powinny padać w przestrzeni publicznej, szczególnie do polskiego żołnierza; nawet jeśli polski rząd nie jest w stanie zareagować na to zgodnie z polską racją stanu, to ja jako prezydent Polski w imieniu narodu, który tu jest, [...] chcę wam powiedzieć, że polscy żołnierze i funkcjonariusze to świętość. Naród jest z wami i dziękujemy wam za to, że jesteście – mówił do Polaków zgromadzonych na placu Piłsudskiego w Warszawie prezydent Karol Nawrocki.

Tego dnia ulicami stolicy po raz kolejny przeszedł Marsz Niepodległości, jak zawsze gromadząc tłumy patriotów.

Niepodległość na sportowo w Ogrodzie Saskim świętował Region Środkowo-Wschodni NSZZ „Solidarność”, który już po raz dziesiąty „obudził Lublin na niepodległość” wraz z Fundacją „Ruchu Solidarności Rodzin” i lubelskim oddziałem Instytutu Pamięci Narodowej.

Każdy z 400 uczestników Lubelskiego Biegu Niepodległości, od najmłodszego do najstarszego, otrzymał pamiątkowy medal, na którym wybito wizerunek Pałacu Lubomirskich w Lublinie, gdzie w 1918 roku został utworzony pierwszy rząd odrodzonej Rzeczypospolitej pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego. 11 listopada rząd Daszyńskiego złożył dymisję na ręce marszałka Józefa Piłsudskiego.

eprasa.pl de96da4d7d


Fot. M. Żegliński

„Dzisiaj mówimy właściwie o schyłku przemysłu hutniczego w Polsce i Europie. Przypomnę, że utrata jednego miejsca pracy w hutnictwie to w zasadzie 6 miejsc pracy w branżach około hutniczych”.

Dariusz Brzęczek, szef opolskiej Solidarności, Radio Opole, 7 listopada br.

TSUE ODRZUCIŁ SKARGĘ. DYREKTYWA JEST WAŻNA

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wydał 11 listopada wyrok w sprawie dyrektywy dotyczącej adekwatnych wynagrodzeń minimalnych w Unii Europejskiej.

Przepisy zostały zaskarżone przez Danię, która chciała unieważnienia całego dokumentu. Zdaniem tego państwa dyrektywa narusza podział kompetencji pomiędzy UE a państwami członkowskimi, gdyż stanowi bezpośrednią ingerencję w ustalanie wynagrodzeń w Unii oraz w prawo zrzeszania się, które należą do kompetencji krajowych.

TSUE przyznał rację Danii tylko w dwóch przepisach dyrektywy, natomiast w pozostałym zakresie oddalił skargę i potwierdził tym samym ważność większości przepisów dyrektywy.

„Każde państwo członkowskie, w którym zasięg rokowań zbiorowych nie osiąga progu 80 procent, powinno stworzyć ramy warunków sprzyjających rokowaniom zbiorowym oraz ustanowić plan działania na rzecz promowania rokowań zbiorowych, aby stopniowo zwiększyć wskaźnik zasięgu rokowań zbiorowych. […] Plan ten powinien być regularnie, co najmniej raz na pięć lat, poddawany przeglądowi i w razie potrzeby zmieniany – zapisano w unijnej dyrektywie.

Przewodniczący Solidarności Piotr Duda, komentując decyzję TSUE, stwierdził, że: – Trybunał zachował się tym razem tak, jak powinien, i potwierdził to, co dla nas było jasne od lat i o co Solidarność walczyła przez tak długi czas – potwierdził, że płace w UE muszą zapewniać godność i sprawiedliwość, a drogą do tego są: odpowiednia płaca minimalna z jednej strony i układy zbiorowe pracy z drugiej strony. […] Żaden rząd, w tym rząd polski, nie może już wykręcić się od wdrażania dyrektywy, w tym przede wszystkim od tego, by budować silne systemy rokowań zbiorowych i wspierać zawieranie układów zbiorowych pracy. Jeśli ktoś zwlekał z wdrożeniem przepisów dyrektywy z powodu tego postępowania, w tej chwili nie ma już żadnych wymówek. Solidarność tego nie odpuści – podkreślił szef Solidarności, wzywając polski rząd do podjęcia natychmiastowych działań, a Komisję Europejską do „surowego rozliczania państw”, które odmawiają pracownikom praw wynikających z tej dyrektywy.

ORATORIUM „ZŁO DOBREM ZWYCIĘŻAJ”

Już niebawem, 23 listopada, w kościele Matki Bożej Królowej Polski w Stalowej Woli odbędzie się Oratorium pt. „Zło dobrem zwyciężaj”. Widowisko zostało skomponowane przez Piotra Pałkę, natomiast autorem libretta jest ks. Tadeusz Golecki.

Wydarzenie współorganizowane przez Region Ziemi Sandomierskiej NSZZ „Solidarność” to wyraz hołdu dla bł. ks. Jerzego Popiełuszki w 15. rocznicę jego beatyfikacji.

Patronem medialnym wydarzenia jest „Tygodnik Solidarność”.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

23.11.1986 – w Warszawie zostaje utworzona Tymczasowa Rada Konsultacyjna Rolników Indywidualnych „Solidarność”;

25.11.1990 – odbywają się powszechne wybory prezydenckie. Po II turze prezydentem zostaje Lech Wałęsa;

23.11.1999 – odbywa się pierwsze posiedzenie Komisji Trójstronnej ds. Społeczno-Gospodarczych;

24.11.2004 – NSZZ „Solidarność” popiera wolnościowe protesty na Ukrainie.

eprasa.pl de96da4d7d

PRAWO

Czy można wyrzucić lokatora, KTÓRY NIE PŁACI?

Jakiś czas temu wynająłem kawalerkę pewnemu studentowi. Początkowo wszystko układało się dobrze, od czasu, gdy po kilku miesiącach mój najemca przestał płacić czynsz. Przypomnienia, prośby, a nawet groźby, nic nie pomagały. W końcu uznałem, że jedyne wyjście to „wyrzucić lokatora". Wiem, że to dość powszechny temat i w praktyce chyba nie jest to takie proste, ale czy właściciel może **samowolnie zabrać klucze** takiemu nieuczciwemu najemcy, wynieść jego rzeczy i zmienić zamki?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Wynajmowanie mieszkania jest źródłem dodatkowego dochodu, ale czasem stanowi prawdziwe źródło frustracji. Prawo w tej materii jest jasne: samowolne usuwanie lokatora jest zabronione. Właściciel nie może podejmować działań na własną rękę, nawet jeśli czuje się bardzo oszukany. Zgodnie z przepisami dotyczącymi najmu i ochrony posiadania osoba, która chce pozbawić kogoś lokalu, musi skorzystać z drogi prawnej. Oznacza to wystąpienie na drogę sądową, najczęściej z powództwem o wydanie lokalu i eksmisję. To sąd, a nie właściciel, rozstrzyga, czy i kiedy lokator ma opuścić lokal. Istotne jest też rozróżnienie rodzaju stosunku najmu. Jeśli najem jest formalny (umowa najmu), właściciel powinien najpierw wypowiedzieć umowę zgodnie z jej postanowieniami i ustawowymi terminami. W przypadku najmu bezumownego albo gdy lokator zajmuje lokal na podstawie ustnego porozumienia, procedury są inne, ale reguła pozostaje ta sama, to znaczy egzekucję przeprowadza komornik na podstawie prawomocnego orzeczenia sądu. Nawet w sytuacji, gdy lokator zalega znacząco z płatnościami, właściciel nie ma prawa dokonywać „samoegzekucji". W praktyce zdarza się, że niektórzy właściciele stosują nielegalne metody, takie jak zmiana zamków, wynoszenie rzeczy na klatkę czy odcinanie mediów. To działania ryzykowne, lokator może wnieść powództwo o przywrócenie posiadania, a właściciel narazi się na odpowiedzialność cywilną i karną. Dodatkowo przy ewentualnym procesie dowody (fotografie, świadkowie, korespondencja) będą działać na korzyść osoby pozbawionej mieszkania. Policja z reguły nie pomoże przy takiej samowolnej egzekucji bez prawomocnego wyroku.

Jak więc postępować rozsądnie? Po pierwsze: dokumentować wszystko, począwszy od wezwania do zapłaty, potwierdzenia wysłanych SMS-ów, e-maili i ewentualnych umów. Po drugie: spróbować drogi polubownej, mediacja często przynosi rozwiązanie, zwłaszcza gdy problem wynika z przejściowych trudności najemcy. Jeśli to nie skutkuje, właściciel powinien wystąpić do sądu o nakaz zapłaty lub o eksmisję. Nakaz zapłaty może przyspieszyć odzyskanie należności, ale jeśli lokator nie opuści mieszkania, konieczne będzie postępowanie egzekucyjne z udziałem komornika.

Warto też zabezpieczyć się przed problemami zawczasu, czyli sporządzić pisemną umowę, pobrać kaucję zabezpieczającą na wypadek zaległości lub szkód, wprowadzić klauzule dotyczące wypowiedzenia i kar umownych. Przy najmie okazjonalnym właściciel ma dodatkowe narzędzia formalne, to jest oświadczenie lokatora wskazujące inny lokal do zamieszkania, ale trzeba zachować ostrożność, bo błędy w formalnościach mogą unieważnić takie zabezpieczenie.

Na koniec pragmatyczna uwaga. Niestety eksmisja bywa procesem długim i kosztownym, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi ochrona przed bezdomnością najemcy (np. małoletnie dzieci, choroba). Dlatego warto rozważyć negocjacje, ugodę lub sprzedaż długu

eprasa.pl de96da4d7d

firmie windykacyjnej jako rozwiązanie kompromisowe. Zawsze też warto zasięgnąć porady prawnika, zanim podejmie się decyzję o krokach radykalnych. Dodatkowo warto pamiętać, że właściciel może dochodzić poza samym wydaniem lokalu także zaległego czynszu, odsetek ustawowych oraz kosztów postępowania. Kaucja, jeśli była wpłacona, może zostać potrącona na poczet należności, co często skraca regres finansowy właściciela. S

UPRZYWILEJOWANIE PRACOWNIKA w prawie pracy (cz. 1)

Jednym z najważniejszych założeń ideowych prawa pracy, o ile wręcz nie podstawowym, jest spostrzeżenie, że pracownik jest słabszą stroną stosunku pracy niż pracodawca. Odróżnia to prawo pracy w szczególności od prawa cywilnego, gdzie z kolei zakłada się, że obie strony stosunku cywilnoprawnego są sobie równe. Owo założenie rodzi bardzo daleko idące skutki, które decydują o specyfice prawa pracy i o tym, jak kształtowana jest relacja pomiędzy pracownikiem a pracodawcą.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Praktycznym wyrazem przyjęcia założenia o faktycznym braku równorzędności stron stosunku pracy jest dążenie ustawodawcy do wprowadzania rozwiązań, których celem będzie zniwelowanie tego stanu rzeczy, a dokładniej zapobieżenie sytuacjom, w których pracodawca korzystający ze swojej przewagi (ekonomicznej, organizacyjnej) będzie narzucał pracownikowi taką treść ich relacji, która będzie uwzględniała tylko interes zatrudniającego (nie należy przy tym jednak pomijać faktu, że powyższe nie ma na celu wyeliminowania konstrukcji podporządkowania pracownika pracodawcy, co również jest istotą zatrudniania pracowniczego, ani pozbawiania pracodawcy narzędzi do organizowania pracy i prowadzenia racjonalnej polityki zatrudnieniowej).

Dokonując analizy instrumentów, którymi posługuje się ustawodawca, realizując powyższe założenie, można przyjąć, że da się je podzielić na dwie kategorie. Pierwszą stanowią rozwiązania o charakterze konstrukcyjnym, systemowym, tj. takie, które oddziałują na całe prawo pracy. Drugą zaś tworzą przepisy o bardzo konkretnym charakterze, można rzec – bardzo konkretne konstrukcje. Do tej grupy można przykładowo zaliczyć regulacje dotyczące zasad korzystania z urlopu wypoczynkowego, konkretne uprawnienia związane z rodzicielstwem czy też przepisy odnoszące się do zasad rozwiązywania stosunku pracy przez pracodawcę.

W tym miejscu więcej uwagi poświęcone zostanie jednak działaniom z pierwszej grupy, czyli tym o charakterze generalnym. Na pierwszy plan wysuwa się tu tzw. zasada uprzywilejowania pracownika, która została wyrażona w art. 18 Kodeksu pracy i stanowi jedną z podstawowych zasad prawa pracy.

Otóż zgodnie z § 1 tego przepisu postanowienia umów o pracę oraz innych aktów, na których podstawie powstaje stosunek pracy (czyli powołania, wyboru, mianowania i spółdzielczej umowy o pracę), nie mogą być mniej korzystne dla pracownika niż przepisy prawa pracy.

Jest to mechanizm, którego znaczenie ciężko przecenić. Wprowadzona w nim reguła wskazuje bowiem, że przepisy prawa pracy (a dokładniej rzecz biorąc, normy prawa pracy) wykazują się bardzo daleko posuniętą specyfiką w porównaniu z przepisami innych gałęzi prawa.

Otóż tradycyjnie normy prawne dzieli się na względnie wiążące i bezwzględnie wiążące. Pierwsze są charakterystyczne dla prawa prywatnego (prawo cywilne), a ich mechanizm oddziaływania jest następujący. Ustawodawca wprowadza je, ale strony stosunku cywilnego mogą w swojej umowie zdecydować, że ich relacja (wzajemne prawa i obowiązki) będzie odmiennie ukształtowana, niż wynika to z przepisów. Przykładem to obrazującym mogą być przepisy Kodeksu cywilnego o odsetkach. Zgodnie z art. 360 k.c. w przypadku braku odmiennego zastrzeżenia co do terminu płatności odsetek są one płatne co roku z dołu, a jeżeli termin płatności sumy pieniężnej jest krótszy niż rok – jednocześnie z zapłatą tej sumy. Oznacza to, że strony mogą swobodnie określić termin płatności odsetek, a przywołany przepis znajdzie zastosowanie dopiero, gdy strony w swojej umowie tę kwestię pominą. S

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl de96da4d7d

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Marcin Darmas (Prezesowski..., s. 28),
socjolog związany przez lata z Uniwersytetem Warszawskim, był współtwórcą koncepcji i dyrektorem kanału TVP World. Jego ostatnia książka to „Na dystans. Rozważania socjologiczne o boksie" (Wydawnictwo UW, 2019).

Katarzyna Kasjanowicz (Gdy odwrócimy..., s. 66),
absolwentka kulturoznawstwa na UW, członkini Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, od 20 lat związana z prasą.

Zdzisław Krasnodębski (Żeby już nigdy..., s. 52),
jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Barbara Michałowska (Polska..., s. 10),
dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Ludwik Pęzioł (Dlaczego..., s. 32),
autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Mariusz Staniszewski (Zniszczyć..., s. 36),
autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl de96da4d7d

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Anna Popek i Rafał Patyra.**



Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl de98da4d7d

Spotkania z prezydentem

ANDRZEJEM DUDĄ

i przewodniczącym NSZZ „Solidarność”

PIOTREM DUDĄ



Warszawa
Dom Pielgrzyma Amicus
ul. Hozjusza 2
21 listopada (piątek)
godz. 17.00

Gdańsk
Sala BHP
Stoczni Gdańskiej
ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6
24 listopada (poniedziałek)
godz. 16.00

Miasteczko Śląskie
Centrum Bankietowo-Konferencyjne Koral
ul. Hutnicza 13
sala Florian
27 listopada (czwartek)
godz. 17.00

Zakopane
Hotel Hyrny
ul. Józefa Piłsudskiego 20
28 listopada (piątek)
godz. 17.00

Wstęp **wolny**

Prezentacja książki

„To ja. Andrzej Duda”



Fundacja Promocji Solidarności

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

tysol

eprasa.pl de96da4d7d